

Będziemy wszyscy wspierać nasz rząd. Słusznie. Bo to jest właśnie nasz rząd. Tak chcieliśmy przez osiem lat. I tak wybraliśmy. Nie będziemy dbać ani o ustrój, ani o legalistyczną, konstytucyjną ortodoksję. Nie będziemy dbać również o zaniechania. Też słusznie – możliwości są, jakie są, nie da się tego ignorować, jak to zrobiła Helsińska Fundacja w sprawie telewizji. Skutek będzie jednak taki, że na tym etapie będziemy zarówno wspierać autorytarny model państwa, jak i mobilizować emocje do politycznej wojny z prawicą. Każdy postulat trwałej naprawy polskiej demokracji stanie w ostrym konflikcie z bieżącą pilną potrzebą utrzymania władzy demokratów. Dopóki w wojnie o władzę będziemy wygrywać, będzie nieźle, co nasze dzisiejsze myślenie usprawiedliwi. Źle będzie, kiedy przegramy. Będzie gorzej niż w przegranych znanych nam z przeszłości. I być może rzeczywiście tak już musi być.

Jak będzie?

Paweł Kasprzak
Obywatele RP

Jak będzie we wciąż młodym, 2024 roku i dalej? Otóż – że tak powiem równie odkrywczo, jak ów baca ze starych dowcipów, kiedy przepowiadał pogodę – będzie jakoś. Co być może znaczy nieźle. Większość z nas jest pewna, że w każdym razie będzie o niebo lepiej, niektórzy, że będzie świetnie. Sam żadnej takiej pewności nie mam. Agnieszka Kłakówna napisała kiedyś książkę *Jakoś i jakość* – było w niej o historii szkoły w III RP, a ów tytuł, grający podobieństwem brzmień i tożsamością źródłosłów, eksploatował tę znaczeniową ciekawostkę, w której „jakoś” zawsze wskazuje na bylejakość – nigdy na jakość najwyższą. To interesujące, skąd się bierze akurat takie znaczenie. Moja intuicja mówi, że to efekt statystycznych obserwacji, w których większość prób daje mizerny efekt. Wyuczony pesymizm zatem. Kategoria w zasadzie psychiatryczna. Tak czy owak, wbrew temu doświadczeniu, kiedy dziś powtarzam za mądrzejszymi od siebie, że „jakoś będzie”, to twierdzę, że „jakoś” znaczy tym razem „całkiem nieźle”, co zresztą odpowiada potocznemu znaczeniu powiedzonka, każącego uśmiechać się pomimo nienajlepszej diagnozy i jest wyjątkowym przypadkiem niedepresyjnego znaczenia tego słowa. Niech jednak ta znaczeniowa dwuznaczność tu pozostanie. Polska racja stanu wymaga dzisiaj bowiem, by było właśnie „jakoś”, choć równocześnie „jakoś” to za mało, by powstrzymać recydywę populizmu. Lepsze podobno jest wrogiem dobrego. Dobro będzie wrogiem nijakości, która poza wszystkim to ma do siebie, że jest chwiejna, choć może trwać długo. O tym jest ten tekst.

Adresuję go do myślących podobnie i gotowych spojrzeć z tej specyficznej perspektywy, którą trzeba tu będzie wyjaśnić. Gotowych być może do rozmowy, o którą chcę prosić na tym kolejnym, z pewnością lepszym, choć równocześnie trudniejszym etapie. Ponieważ rozmowa wymagałaby spokojnego namysłu, jestem pewien, że jeśli się odbędzie, to w bardzo kameralnym gronie. Do tego akurat przywykłem. Obywatele RP nigdy nie próbowali być masowym ruchem i nawet w okresie pięciu minut naszej mołojcekiej sławy nie zrezygnowaliśmy z kursu pod prąd. Zastanawiam się, jaka część wczorajszych aktywistów pozostanie nimi również dzisiaj. Wydaje mi się, że bardzo znikoma, choć przecież wszyscy mówiliśmy, że każdej władzy będziemy patrzeć na ręce. Cóż, nawet gdybyśmy działali w klasycznej formule *watch-doga*, oznaczałoby to pozostawanie w opozycji do władzy, bo każdy *watch-dog* przede wszystkim władzę kontroluje. Na to zaś nikt nie ma ochoty, cieszymy się z wygranych wyborów i wreszcie naszego rządu cywilizowanych ludzi. A przecież *watch-dog* nie byłby wystarczającą formułą, bo w Polsce trzeba zrobić o wiele więcej, w tym rzeczy, które w klasycznej polityce się nie wydarzą, nie ma na to ani możliwości, ani woli. O tym ten tekst jest również. Czy da się być w opozycji delikatnej? Konstrukttywnej? Niepamiętającym przypominać, że „konstruktywna opozycja” to cytat z dyktatora Jaruzelskiego, który wymyśloną przez siebie postać opozycji wyobrażał sobie tak, że ona w niczym nie zagraża władzy. Ani systemowi, którego zmieniać żadną miarą nie było wolno, można najwyżej piętnować co bardziej spektakularne „błędy i wypaczenia”, a i to tylko wtedy, kiedy władza na to zezwoli. Jak zrobić, by zrobić cokolwiek i równocześnie nie narozrabiać – czy są w ogóle jakieś szanse?

O wyborach 15 października mówiliśmy – słusznie i raczej bez wielkich nadużyć proporcji – że są najważniejsze od '89 roku. Może więc czeka nas również transformacja o podobnym znaczeniu i porównywalnie wielkiej skali? Cóż, bardzo bym tego chciał. Ale tak z całą pewnością nie będzie – z bardzo wielu powodów, z których przynajmniej część w tym tekście spróbuję zrekapitulować.

Nadzieję na wielką transformację żyłem przez kilka ostatnich lat publicznej działalności, która nigdy nie była ani moją specjalnością ani pasją samą dla siebie. Do dziś każe mi to jednak z bardzo specyficznej perspektywy patrzeć na świat, w którym dzieją się rzeczy groźne, i na Polskę, w której dzieje się lepiej. Moje nadzieje nigdy nie oznaczały złudzeń i dziś rzeczywiście wszystko wskazuje, że myślało w ten sposób niewielu z nas i że żadnej wielkiej transformacji nie będzie. Polska racja stanu wymaga dzisiaj po prostu, by do władzy nie wrócili „oni”. Wkrótce zacznie to oznaczać pełną zgodę na „jakoś”, bo wszystko będzie lepsze od tego, co przeżywaliliśmy w ostatnich latach. Wrócą w komplecie wszystkie te „nie teraz”, znane nam z opozycyjnej przeszłości. Polska racja stanu będzie wymagała zgody na brnięcie w wojenną politykę i wady demokratycznego systemu zamiast marzeń o jego naprawie – i tej zgody chętnie udzielimy, wykluczając oczekiwania rzeczywiście transformacyjnej reformy.

* * *

Diagnoza i najprostsze wnioski

To są wszystko złożone sprawy. I niejednoznaczne, pomimo brutalnej jednoznaczności wojny z PiS, w której kolejną fazę właśnie wkraczamy, przeżywając przesilenie aż tak poważne, że prowadzące do konstytucyjnego kryzysu wokół budżetu, choć zupełnie nie wiem, dlaczego przyspieszonych wyborów mielibyśmy obawiać my, a nie Duda, skoro będzie w nich szansa na większość, która jego weto przełamie, co zresztą w znacznej mierze unieważniłoby część problemów, o których będzie tu mowa. W skrócie myślę o tych niejednoznacznościach tak:

Marzenia o prawdziwej demokracji, jakiej nikt nie widział w rzeczywistości III RP, są ważne, ale oczywiście żadne z nich nie może oznaczać ryzyka zachwiania demokratycznej większości i pisowskiej recydywy. Problem w tym, że trwała demokracja wymaga odcięcia niewyschtych źródeł populizmu. One zaś tkwią w wadach systemu, których tolerować ani tym bardziej pogłębiać nie wolno – a właśnie na to będziemy skazani w dającej się widzieć przyszłości pod znakiem „jakoś to będzie”.

Jak z tego wybrnąć? To jest główne pytanie w tym tekście. Zadaję je przy tym z niewygodnej, bo przegranej pozycji. Mam kilka pomysłów i inni też mają swoje, ale być może prawdziwa odpowiedź jest po prostu taka, że wybrnąć z tego już się nie da.

Kilka przykładów na to, co się zdarzy, a co nie – studium trzech przypadków

Mowa tu będzie o telewizji, szkole i aborcji. W każdej z tych spraw będzie, co może być – że znów, jak bacia, obstawię pewniaka. Decydować będą przede wszystkim bardzo ograniczone możliwości, a czykolwiek wola tylko w znikomym stopniu. Będzie, czego wolno się spodziewać. Wyborcy PiS i Konfederacji nie znikną – tego spodziewać się nie wolno. Nie zniknie więc zagrożenie populizmem i lęk przed nim jako jeden z głównych czynników kształtujących i rzeczywistość, i nasze wobec niej postawy. Kurs na konfrontację ze strony PiS widać aż nadto wyraźnie, zresztą niczego innego również nie wolno się było spodziewać. Jeśli ktoś się zastanawiał, jaka będzie w tej sytuacji rola Dudy, to wątpliwości w tej sprawie dziś już mieć nie może. Konfederacja będzie nadal „jedynym sprawiedliwym”, który nie uczestniczy w „jałowej wojnie” PiS z „liberałami” – Hołowni i Trzeciej Drodze wejść w tę rolę (wymarzoną dla nich, a dla wszystkich potencjalnie korzystną) już się nie uda bez narażenia siebie i nas na kolejną katastrofę. Zdecydowaną postawę widać także ze strony nowej władzy, która najwyraźniej postanowiła wytrzymać konfrontację – aresztowanie Kamińskiego i Wąsika było podwójną demonstracją, zaadresowaną także wprost do Dudy, skoro to właśnie u niego zatrzymanie się odbyło.

Gdybym miał doradzać Kaczyńskiemu, radziłbym mu być gotowym umrzeć za tych dwóch „politycznych więźniów”, a nie tylko udawać. Dokładnie to samo – *à rebours* – wobec tego samego Kamińskiego proponowałem opozycji na starcie rządów PiS, uważając, że impet nowej władzy trzeba zatrzymać natychmiast, bo potem będzie tylko trudniej. Sądząc przy tej konkretnej okazji, że to jest możliwe, bo gdyby protest był wówczas silny naprawdę, to nikt za Kamińskiego umierać by nie chciał. Zgoda na mianowanie konstytucyjnym ministrem przestępcy, była ustępstwem niebywałym i musiały pójść za nią kolejne. Wtedy – dokładnie za propozycją akcji w sprawie Kamińskiego – wykluczono mnie z powstającego właśnie KOD-u.

Dziś Kaczyński powinien wiedzieć, że wymuszenie uwolnienia Kamińskiego, za którego znów nikt z rządzących nie zechce umierać, w znacznym stopniu zatrzymałoby sprawczość nowej władzy. Jeszcze kolejny krok – wpuszczenie ich na salę sejmową – zachwiałyby nową władzą już bardzo potężnie. Na szczęście Kaczyński prawdopodobnie nie ma na to siły.

Mimo ofensywy rząd nie dysponuje w Sejmie większością pozwalającą przełamać weto Dudy – spodziewane przy każdej poważniejszej ustawie – więc przy liberalizacji aborcji, reformie szkoły, ubezpieczeń, ochrony zdrowia, telewizji. O TK szkoda w ogóle myśleć w tej fazie. Te kleszcze są podwójne – wynikają i z konstytucji, która m.in. wymaga 276 głosów do odrzucenia weta Dudy, i z tego, że wyborcy PiS oraz Konfederacji to nadal wielka, bliska połowie (choć dziś bliższa 1/3) rzesza ludzi. Te kleszcze wymuszają i będą nadal wymuszały jedność Koalicji 15 Października. Ale będą jeszcze nie raz powodowały rozmaite „imposybilizmy”, niszcząc sprawczość władzy, co może być dla niej groźne. Pytaniem otwartym pozostaje trwałość i jedność obozu prawicy. Nie słychać plotek o odejściach z PiS, choć należałoby się ich spodziewać np. ze strony potencjalnych „świadków koronnych”, na których „są papiery”. Dziwne. No, zobaczymy.

Łatwe do przewidzenia skutki tej sytuacji widzimy już dziś. Jest zdecydowanie zbyt wcześnie, by je oceniać. Warto sobie jednak uświadomić konsekwencje dwóch rodzajów przypadków, z którymi będziemy mieli do czynienia stale w czasie, jaki dzieli nas od wyborów prezydenckich – kolejnych najważniejszych od 1989 roku, jak to wkrótce zaczniemy powtarzać. Pierwszy rodzaj to media i szkoła, drugim jest aborcja. Scenariusze opiszą, jak sądzę, całą polską rzeczywistość polityczną. W międzyczasie być może odetchniemy z ulgą, a być może popadniemy w uzasadnioną rozpacz na wieść o wynikach amerykańskich wyborów. Polski przypadek – trzeba to wiedzieć – należy nie tylko umieszczać w globalnym kontekście, ale również globalnie uogólniać. Mechanizm zderzenia z populizmem jest wszędzie podobny.

Przypadek TVP. To emocjonujący wszystkich spektakl, choć np. ekscytująca scena aresztowania Kamińskiego z Wąsikiem przesłoniła zainteresowanie groteskową sytuacją w budynkach telewizji – i takich wydarzeń będzie jeszcze mnóstwo. Jeśli mnie coś zdziwiło w sprawie telewizji, to stosunkowo liczne komentarze zwracające uwagę, że publiczne media trzeba bardzo gruntownie zreformować, a żadne z doraźnych pociągnięć nowej władzy tego nie zapewnia. [Stanowisko Fundacji Helsińskiej](#), pryncypialnie wyjaśniające niekonstytucyjny charakter rządowych prób podjętych w pierwszym kroku, zaraz po utworzeniu rządu, jest w tej sytuacji warte najwyższego uznania, choć przecież zupełnie zrozumiałe są również zdania, że konstytucyjna ortodoksja Fundacji była gestem niemądrym, skoro nie ma innych propozycji i Fundacja żadnej nie wskazuje, a sprawę załatwić trzeba przecież koniecznie. Sam, szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że w tej sprawie odważy i zechce się odezwać w ogóle ktokolwiek. Telewizji i radia nie da się pozostawić w pisowskich rękach, a każdą poważną ustawę reformującą – i tak trudną z konstytucyjnych powodów, bo wymagającą likwidacji lub przerwania kadencji istniejących organów – skutecznie zablokuje weto Dudy. Innych możliwości zatem po prostu nie ma i jeszcze długo nie będzie. Tym, co mnie zaskoczyło bardzo pozytywnie, jest fakt, że ktokolwiek w ogóle dostrzega potrzebę reformy, a nie tylko po prostu przejścia tego, co wcześniej zagarnął i zdemolował PiS – a takich głosów jest sporo.

Aktualnie zatem minister Sienkiewicz, jak należało się spodziewać, korzysta z właścicielskich uprawnień wobec spółek mediów publicznych. Żeby było jasne, nie wypowiadam się o

legalności tej akurat „drogi na skróty”, choć jej nieprawidłowość wskazał sąd rejestrowy, odmawiając wpisania zmian w składzie organów TVP, a argumentacja w uzasadnieniu wyroku słusznie powtarza tezy oświadczenia Helsińskiej Fundacji. Sam uważam tę drogę za legalną i to właśnie nie na skróty, ale z punktu widzenia najwyższych i najważniejszych wartości stojących za porządkiem prawnym i wprost wskazanych w Konstytucji RP, którą – również w zgodzie z jej zapisami – wolno i należy stosować bezpośrednio. Kodeks spółek nie jest tu pretekstem. Jest powodem działania. On przede wszystkim mówi, że Sienkiewicz za TVP odpowiada. Bardziej szczegółowy kontekst prawny jest tym bardziej dla Sienkiewicza korzystny. Helsińska Fundacja i sąd mają rację, podkreślając, że ten sam wyrok jeszcze legalnego TK pod kierownictwem Rzeplińskiego – uznający, że nie wolno było odbierać uprawnień zarządczych Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji, by je przekazać ministrowi skarbu, a tym bardziej ustanowionej później Radzie Mediów Narodowych – wskazał równocześnie aż nadto wyraźnie, że mediami publicznymi nie wolno zarządzać z pozycji właścicielskich, bo one są właśnie publiczne. Innego legalnego właściciela jednak nie ma. W tym cała rzecz. Nie jest nim RMN, ale nie jest nim już od lat KRRiTV – zresztą na szczęście, bo tam trzeba by czekać aż skończą się konstytucyjne(!) kadencje członków. Tego faktu – braku odpowiednich, legalnych kompetencji w czyichkolwiek rękach na skutek pisowskiego chaosu prawnego – sąd nie zechciał wziąć pod uwagę.

Dziś więc to właśnie Sienkiewicz jest jedynym organem, który legalnie odpowiada za spółki medialne – a prawo o spółkach jest jedynym, które nie budzi zastrzeżeń, zwłaszcza w sprawie likwidacji. Ani konstytucyjna KRRiTV, ani nawet niekonstytucyjna RMN nie mają tu przecież uprawnień. Sienkiewicz reaguje, bo musi reagować w obronie nie tyle finansów spółek, ale w obronie najwyższych norm prawa. Tego sąd pod uwagę nie wziął również. Działania TVP tolerować się nie dało ani przez sekundę – nie dlatego, że tam siedzi PiS, choć to jest też skandal, ani nie dlatego, że Duda na chwilę uniemożliwił finansowanie stacji, co daje Sienkiewiczowi pretekst do postawienia mediów w stan likwidacji – ale przede wszystkim dlatego, że kłamstwem, manipulacją, propagandą i szczeniem TVP wprost narusza godność milionów ludzi, a ona jest najwyższą konstytucyjną wartością. Sienkiewiczowi pozostaje już wyłącznie likwidacja spółek – zgodnie z przewidywaniami jeszcze sprzed wyborów, przynajmniej moimi. Likwidacja jest legalna już bez wątpliwości, choć trochę szkoda, że to finanse, a nie najwyższe wartości są tu deklarowanym powodem. Do faktycznej likwidacji prawdopodobnie nie dojdzie do wyborów prezydenckich – telewizją likwidatorzy mogą zarządzać kryzysowo aż do tego czasu i chętnie z tej możliwości skorzystają.

Byłbym spokojniejszy, gdyby Sienkiewicz za swój rzekomy „zamach” odpowiedział przed sądem, który by racje jego postępowania rozstrzygnął. Ten spokój jest dla mnie ważny dlatego, że każde działanie naprawcze obecnej władzy wyznaczy standard, na który chętnie powoła się kiedyś władza kolejna. O tym zdają się zapominać komentatorzy domagający się realizmu i asertywności w tych dyskusjach, [jak to robi Wojciech Sadurski](#), z którym poza tym się zgadzam.

Krytyka ministra Bartłomieja Sienkiewicza podejmowana przez publicystów i prawników także po stronie demokratycznej za sposób rozprawienia się z TVPiS jest dopiero zapowiedzią konfliktów, które bez wątplenia towarzyszyć będą wszystkim działaniom naprawczym w okresie przejściowym.

Z tym wątkiem myślenia prof. Sadurskiego zgadzam się również. Dodałbym to tego właśnie uwagę o roli sądów. Niech każdy, kto kiedykolwiek spróbuje takich rozwiązań – siłowych, co do

tego nie ma wątpliwości – wie, że stanie z ich powodu przed sądem. Nie mam żadnych wątpliwości, że każdy uczciwy sąd w końcu racje Sienkiewicza uzna. Żaden uczciwy sąd nie uznałby zaś racji Kurskiego.

Tym więc, co w sprawie TVP wiąże akurat moją uwagę, jest nie praworządność, ale polityczny model, w którym ten ma w rękę media, kto ma władzę. Ten model utrwała się, zamiast ulec zmianie. I również z tego, nie tylko z wytyczanych dzisiaj ścieżek prawnych, chętnie skorzysta każda następną władza. Publiczna własność miałaby zaś to do siebie, że byłaby odporna na wynik wyborów i tego, czyja jest sejmowa większość. Aż tak dobrze nie było nigdy w historii III RP i nie przejmowaliśmy się tym zbyt, skoro było „jakoś”, czyli „nie tak znowu źle”. TVP pod rządami PiS powinno nam jednak kazać pomyśleć o gwarancjach uniemożliwiających tak brutalne przejęcia i tak bezwzględną, tępą politykę spod znaku „nie mam pańskiego płaszcza”. Tę zasadę powinno się oczywiście uogólnić na kilka innych kluczowych instytucji państwa, które również powinny być systemowo odporne, a nie zależne od tego, kto akurat ma je w rękę. Ta sama zasada powinna przede wszystkim dotyczyć także całości prawa – przynajmniej w pewnym ważnym zakresie podstawowych regulacji o randze bliskiej konstytucji.

Nie od wczoraj przecież i nie od pisowskich rządów stanowione w Sejmie prawo, zamiast wyznaczać ściśle przez Sejm kontrolowane, nieprzekraczalne granice rządzącym, stało się narzędziem ich polityki, ulegając przy tym kompletnej degradacji. Nie tylko media są własnością rządowej większości – ale właśnie całość prawa Rzeczypospolitej.

Cóż, może i tak – powie zapewne większość z nas – ale przejęcie TVP jest tak czy owak koniecznym elementem polskiej racji stanu i należy mu kibicować. To prawda. I z tego powodu każdy polski demokratą będzie dziś popierał rozwiązania utrwalające antydemokratyczną patologię państwa oraz jego dwubiegunowej, wojennej polityki. Sienkiewicz będzie mógł zlikwidować TVP, ale żadnej ustawy powołującej nowe media publiczne nie podpisze Andrzej Duda. Skutek będzie taki, że ewentualna nowa telewizja będzie państwowa bez żadnych regulacji charakterystycznych dla mediów publicznych. Tego statusu każda nowa spółka musiałaby unikać, jeśli ktokolwiek w rządzie zechce respektować konstytucję. Ta bowiem funkcje zarządcze powierza KRRiTV, gdzie rządzą nominaci PiS, a ich kadencji przerwać nie wolno. Rządy likwidatorów to niebezpieczny, choć w pełni legalny patent – zechcą z niego kiedyś skorzystać przeciwnicy. Trwające latami rządy likwidatorów. Oraz inne patenty: lata aresztów wydobywczych. Rządy rozporządzeniami. Można długo wymieniać.

Reforma? Im głębsza, tym bardziej będzie „nie na teraz”. To oczywiste. Nikt poważny nie będzie dzielił włosa na czworo. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, a rąbać trzeba koniecznie.

Szkoła jest przypadkiem z tej samej kategorii i podobnym – choć tu już głosów w duchu stanowiska HFPC raczej nie będzie. Szkoła również w pełni zależy od „właściciela”, czyli tego, kto ma większość w Sejmie. W odróżnieniu od mediów, podporządkowanie szkoły politycznej większości nigdy samo w sobie nie budziło emocji i wydawało się logiczną konsekwencją ustrojowej konstrukcji rządu, odpowiadającego za różne sektory państwa – w tym zwłaszcza te tak wielkie jak szkoła. „Szkoła musi być oderwana od partii politycznych” – stwierdziła tyleż lakonicznie, co oczywiście słusznie nowa ministra Barbara Nowacka, przychodząc do pracy. Ale usłyszeliśmy też mniej więcej równocześnie, że na miejsce niesławnej pamięci Barbary Nowak,

jej następcę w małopolskim kuratorium „wskaże PSL”. To mało istotny drobiazg bez poważnych konsekwencji, ale on pokazuje coś, co potwierdza dyskusja wokół zadań domowych, która trwa, kiedy piszę niniejsze – że demolka Zalewskiej i późniejsze ekscesy Czarnka uświadomiły nam bardzo niewiele, choć miały szanse uświadomić wszystko.

Oświata to gigantyczny sektor – jeden z istotniejszych powodów, dla którego w ogóle potrzebujemy państwa, i jedna z większych pozycji w budżecie. To równocześnie projekt nieskończenie dalekosiężny. Już choćby z tych powodów warto by się zastanowić, czy „oderwanie od partii politycznych” nie powinno w rzeczywistości oznaczać nie tylko powstrzymania się od wskazywania kuratorów według politycznego klucza. Być może powinno chodzić o ustrój szkoły odporny na polityczne koniunktury – tak, by demolka Zalewskiej, a zatem również innego rodzaju „reorganizacje” nie były możliwe w czysto politycznym trybie zwykłych ustaw. Jakiś rodzaj szkolnej konstytucji byłby zatem potrzebny tak, jak konstytucja medialna, którą PiS zdemolował i której nie skonstruujemy w zwykłym trybie, bo nie możemy. Minister idiota, fanatyk, czy zwykły bandyta może się zdarzyć zawsze – Czarnek ustanowił tu wprawdzie rekord trudny do pobicia, ale choć był najgorszym, to przecież w historii III RP nie był jedynym idiotą, jedynym bandytą, ani jedynym fanatykiem na tym stołku. Dobry ustrój to nie ten, który takie przypadki wyklucza – w demokracji tego nigdy wykluczyć się nie da – ale ten, w którym rodzice, dzieci i ich nauczyciele nie będą bezbronni wobec politycznej samowoli szefa resortu, kiedy ten oszaleje lub okaże się np. faszystą.

Tymczasem polska szkoła zawsze, a nie tylko od czasów Zalewskiej, rządziła się samowolą ministra. Realizowała zawsze szczegółowy i jednolity dla wszystkich bez wyjątku program ustalany przezeń jednoosobowo w rozporządzeniu, więc nie podlegający nawet sejmowej kontroli (jeśliby nawet ona cokolwiek zmieniała w Sejmie, w którym minister ma z natury ustroju zawsze większość) i w razie wątpliwości uzupełniony kolejnym rozporządzeniem o siatce godzin, określającym szczegółowo na 13 lat życia wszystkich naszych dzieci, ile dokładnie odmierzonych godzin spędzą na ćwiczeniach fizycznych, a ile na ćwiczeniach z rachunków, niesłusznie zwanych matematyką; ile na religii, a ile na fizyce. Nie każdy minister był idiotą, żaden przed Czarnkiem nie był faszystą, nawet Giertych i Legutko. Ale każdy rządził – czasem światle, częściej jednak nie – w ten sam sposób: jednoosobowo z zakresem władzy obejmującym wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów. W dodatku jednolicie. Stołek ministra edukacji od zawsze nadaje się wyjątkowo dobrze do przejęcia przez fanatycznych świrów. Przed demolką Zalewskiej ustawa oświatowa bywała nowelizowana czasem raz, częściej kilka razy w roku – zmian było w niej tyle, że jednolity tekst ustawy od dawna przestał być zrozumiały. Większość tych zmian była skutkiem wyroków TK – żaden z nich nie stwierdził jednak niekonstytucyjności ustroju szkoły w całości. A powinien.

Myśląc o systemie oświaty i obowiązku szkolnym nigdy nie zadajemy pytań podstawowych. Nie pytamy więc w ogóle, kim jest człowiek, którego w szkołach kształcimy lub usiłujemy kształtować. Czy zatem chodzi o roboty „przygotowane do konkurencji na globalnym rynku”, czy może o „tolerancyjnych demokratów” albo czy chcemy wypuścić ludzi wiedzących, czym jest procent składany – tak by przestali się nabierać na quasi-bankowe oszustwa. Bo gdybyśmy sobie wyobrazili, że szkoła jest miejscem rozwoju człowieka, a nie robota, którego chcielibyśmy zaprogramować, wierząc, że da się to zrobić, to byłoby jasne, że każdy postulat podobny do wymienionych powyżej, nawet włącznie z zapewnieniem równości szans, najczęściej staje w sprzeczności z intelektualną i duchową wolnością jednostki – dziecka i jego rodziny.

Art. 70.1. Konstytucji RP: Każdy ma prawo do nauki. Nauka do 18 roku życia jest obowiązkowa. (...)

Brzmi po kafkowsku, prawda? To jedyne takie konstytucyjne prawo, dla którego realizacji ustanawia się obowiązek. I nawet sankcje. Gdyby ktoś zapomniał o prawie dziecka, uczynnie przypomni mu o nim urzędnik w gminie, a notorycznym zapominalskiemu zasunie grzywnę. To jednak wcale nie Kafka. Mowa po prostu o prawach dzieci, które ani wykonać ich, ani obronić nie mogą samodzielnie. Choć większości z nas towarzyszy z tyłu głowy przede wszystkim ta myśl, że do szkoły żadne z naszych leniwych dzieci nie przychodziłyby z wolnej woli – chyba, że z towarzyskich powodów. Kolejne pytanie, którego nikt nigdy nikomu dziś nie zadaje, dotyczy tego, na kim ma spocząć obowiązek obrony i wykonania praw dzieci, skoro zostawić tego dzieciom się nie da. Na rodzicach, czy na państwie. Nikomu nie przychodzi do głowy nawet, że w ogóle da się takie pytanie zadać.

Tymczasem ono jest ludziom znane od zawsze – jak tylko sięga pamięć historyczna i pojawia się w niej edukacja oraz instytucja szkoły. Antyczna Sparta odpowiadała bez wahania: to państwo występuje w tej roli. W spartańskim duchu państwo wykonywało ten obowiązek z charakterystyczną dla siebie brutalnością, ale też – powiedzieć to trzeba koniecznie, bo to chyba nie jest przypadek – spartańska *agoge* produkowała raczej nie mędrców. Ateny odpowiadały odwrotnie: to rodzice mają obowiązek zadbać o kształcenie dzieci. Prawo Solona przewidywało dodatkowo sprytnie pomyślaną sankcję: rodzice, którzy by prawa do nauki zaniedbali wobec własnych dzieci, nie mogą potem dochodzić od nich praw do opieki na starość. Również Ateny miały swoich Czarnków: śmiertelny w konsekwencjach proces Sokratesa dotyczył przecież deprawacji młodych w szkole. Gdyby chcieć poprzestać na tym antycznym wspomnieniu, nie mielibyśmy jednak wątpliwości, który model wybrać.

Tymczasem i Polska, i niemal wszystkie kraje europejskie wybierają model spartańsko-pruski. Jedynym wyjątkiem jest Wielka Brytania, gdzie prawo wyraźnie definiuje rolę państwowych służb oświatowych, prowadzących szkolnictwo publiczne, ale i nadzorujących szkoły prywatne: to rola wyłącznie pomocnicza w stosunku do dzieci i rodziców, na których spoczywa i obowiązek edukacyjny, i prawa niezbędne do jego realizacji. To ogromna różnica. Brytyjskie służby państwowe przegrały dzięki niej np. proces przeciwko ponad stuletniej już szkole *Summerhill*, w której dzieci uczą się wyłącznie tego, czego chcą się uczyć i tylko wtedy, jeśli chcą. Żadna „podstawa programowa” tu nie istnieje i istnieć nie może. I przy okazji: w historii *Summerhill* znany jest jeden przypadek piętnastoletniego chłopca, który opuścił szkołę, nie umiejąc czytać. Tymczasem w nowoczesnych systemach edukacyjnych co najmniej 15% badanych na wszystkie sposoby piętnastolatków ni w ząb nie rozumie czytanego.

Ten wywód o konstytucji, Sparcie i Atenach z pewnością brzmi jak abstrakcja dla większości czytających – zdają sobie z tego sprawę i proszę o ponowne przemyślenie powyższego. Jeśli faktyczny analfabetyzm przymusowych „szkół prusko-spartańskich” w stosunku do faktycznego nieistnienia tego problemu w „szkołach ateńskich” nie przemawia do naszej wyobraźni, to użyjmy przykładu trudniejszego, a jednak wymowniejszego. Kaczyński, przegrawszy wybory w 2007. zapowiadał w Sejmie, że jeśli do władzy powróci, to żadnego wychowania seksualnego w szkołach nie będzie. Jak wiemy, słowa dotrzymał w trójnasób. Odpowiedział mu wtedy z ław sejmowych rehot ze strony „naszych” – zupełnie, jakby oni

mieli jakieś znaczące dokonania w edukacji seksualnej dzieci. Nikt nie zastanawiał się nawet przez chwilę, czy aby na pewno prawo do wprowadzania obowiązku edukacji seksualnej albo do jej zakazywania ma należeć do ministra. Albo nawet do sejmowej większości. Do kogokolwiek. Są tacy, którzy uważają, że wychowanie seksualne narusza ich wolność do wychowania dzieci zgodnie z przekonaniem, sumieniem itd., co gwarantuje im konstytucja. Należy poważnie traktować tych ludzi. Konstytucja naprawdę daje im tę wolność. Jednak równocześnie wiedza o ludzkiej seksualności – nie tylko o fizjologii, ale o wszystkich kontekstach w sztuce, psychologii, w duchowości i z drugiej strony ze wszystkimi konsekwencjami dotyczącymi niechcianych ciąży (które wśród nastolatków cyklicznie objawiają się jako plagi) – jest bez wątpienia czymś, czego nie wolno zakazać, nie naruszając prawa do wiedzy. To słuszne prawo. Mamy więc w tym przypadku konflikt konstytucyjnych wartości – a występuje on nie tylko w przypadku seksu i religii, ale także nawet matematyki, co do której lepiej, żeby szkoła nie uczyła jej wcale, niż żeby miała to robić w dzisiejszy tępy, przerażająco głupi sposób, powodujący, że co najmniej 75% z nas ma do matematyki uraz blokujący myślenie i odcinający nas od jakichkolwiek tekstów, w których pojawią się liczby lub nie daj Boże „wzory”. Kto powinien rozstrzygać w konflikcie konstytucyjnych wartości? Minister? Premier? Sejmowa większość? Z całą pewnością nie.

To przykry konkret, a nie filozoficzne marudzenie:

Sama szkolna „urawniłowka” jest z całą pewnością niekonstytucyjna, a nieodwoływalność jednoosobowych decyzji, podejmowanych często ze skutkiem dla całego dalszego życia dziecka, jest ustrojowym skandalem w nowoczesnym świecie. Twoje dziecko nie zdało matury? Z powodu błędów komisji, oceniającej zadania – zresztą błędnie sformułowane? Musisz poczekać na wyrok TK. To jeszcze pół biedy – ale musisz poczekać przede wszystkim na zmianę władzy. Głosuj na opozycję!

Powinno nam to uświadomić nie tylko samą niekonstytucyjność szkoły – tym nigdy nikt się nie przejmował i nie przejmie się również dziś. Szkoła okazuje się jednym z elementów systemu, które same w sobie sprzyjają politycznym wstrząsom, osłabiając fundament stabilności każdej władzy.

„Każdy widzi różnicę między Przemysławem Czarneckim i Barbarą Nowacką” – tak Donald Tusk skwitował sprawę w *exposé*. Istotnie każdy to widzi, choć Czarnek *à rebours* w pewien sposób pozostaje Czarneckim i właśnie w tym cała rzecz. Sam, gdybym miał podobnie ostro skrócić opis sytuacji, posłużyłbym się raczej właśnie przykładem z oblaną maturą i towarzyszącą jej absolutną bezradnością bezbronnej ofiary. Tymczasem jednak ze szkół po prostu wyleci osławiony podręcznik HiT, nieco się zmienią programy, listy lektur(!), być może pojawi się edukacja seksualna (choć z kadrami przygotowanymi do tego mniej więcej tak, jak dziś są przygotowani katecheci), coś postanowi ministra o zadaniach domowych – i wszyscy uznamy, że jest git. Aż do następnej ludowej rewolty. Ta ostatnia, pisowska, wzięła się z akcji „Ratuj Maluchy”, którą miało zakończyć odrzucenie społecznego wniosku o referendum z milionem podpisów – stosunkiem głosów w Sejmie 232 do 222. Na dwa lata przed wyborami 2015. Bo akcja „Ratuj Maluchy” zakończyła się w rzeczywistości właśnie w tamtych wyborach – w znacznej mierze przesądzając o ich wyniku. Mimo to dziś wiemy, podobnie jak wtedy, a nawet bardziej – żadnego referendum. Po co nam ono? Przecież Nowacka to nie Czarnek.

Za nic nie umiałbym powiedzieć, co ma większy mandat: milion podpisów, czy przewaga 10 głosów w Sejmie. Prawo przesądza wyraźnie. 10 głosów. To jest zatem bardzo złe prawo. Żeby było jasno i wyraźnie: mówię o Konstytucji RP, która swą słabość okazała, pozwalając zignorować głos pisowskiego ludu, by potem umożliwić pisowcom wzięcie całej władzy w niestychnym zakresie.

W każdym razie szkoła, podobnie jak telewizja, utrwali zamiast zmienić to charakterystycznie folwarczne myślenie, w którym większość i władza oznacza własność. Tylko to jest ważne, kto jest właścicielem. Szkoła zatem utrwali ten sam zgubny mechanizm, w którym zwycięzca plebiscytarnych od dawna wyborów bierze wszystko. Ale szkoła pokazuje przy okazji coś jeszcze. Jeśli referendum uważamy za niebezpieczne, to nie bez powodów. Inspirowane przez PiS wnioski o referenda w sprawie szkoły i wieku emerytalnego mogły się skończyć źle, to prawda, choć sporo tu da się poradzić i przykład irlandzkiego referendum konstytucyjnego w sprawie aborcji dobrze to pokazuje. Będzie tu o tym jeszcze mowa, ale tymczasem zanotujmy jedno – jeśli naprawdę uznajemy, że wszystkie te sprawy są wtórne i mniej ważne od samego utrzymania władzy, które jest konieczne dla uniknięcia katastrofy, to może spróbujmy właśnie z tego założenia wyciągnąć choćby najprostszy logicznie wniosek:

Może lepiej byłoby przegrać konkretną sprawę w referendum niż z jej powodu stracić władzę, hę?

Do tego pytania przyjdzie tu jeszcze wrócić, bo odpowiedzieć na nie trzeba i dużo bezpieczniej zrobić to teraz, niż kiedy zostanie ono postawione w wyborczej, kryzysowej sytuacji. Powinniśmy pamiętać, jak żałosna była inicjatywa przegrywającego w 2015 roku Komorowskiego o referendum w sprawie zasad wyborczych i jak kompromitujący był jej frekwencyjny efekt.

Przypadek aborcji. Jest inny niż poprzednie, bo tu sejmowa większość rządzącej koalicji się kończy. Liberalizacja aborcji nie przejdzie w Sejmie i Duda niczego wetować nie musi. Mniejsze tu są również możliwości pozaustawowego działania, choć nie są żadne. Odwojowana prokuratura (znów prawdopodobnie na jakiegoś rodzaju skrót z braku innego wyjścia) może otwarcie przestać ścigać „eugeniczną zbrodnię”, nadzór nad placówkami medycznymi może też zrobić swoje. Ale liberalizacji zgodnej z postulatami największego z protestów w historii III RP nie będzie.

Pierwszym wynikającym stąd pytaniem jest czy i w jakim stopniu wpłynie to na trwałość owego wielkiego poparcia, które obecna władza dostała 15 października – jak należy sądzić, w znacznej mierze dzięki właśnie radykalnie myślącym młodym, zwłaszcza kobietom. Zręcznemu Tuskowi łatwo byłoby zwerksłować ewentualne rozczarowanie na konflikt z Dudą – ale raczej nie będzie miał okazji, skoro koalicjanci w tej sprawie deklarują co innego i Duda żadnej sejmowej ustawy blokować nie będzie musiał.

Sprawa aborcji zostanie więc najprawdopodobniej odłożona na „lepsze czasy”, co zdaje się zapowiadać już ogłoszona decyzja o odłożeniu reformy stosunków z kościołem na tę część kadencji, która przypadnie po wyborach prezydenckich. Tyle, że te wybory stosunku koalicjantów do aborcji nie zmienią. Nie będzie „drogi na skrót”, bo byłoby to trudniejsze nie tylko prawnie, ale przede wszystkim politycznie. Od omówionych wyżej obszerne przypadków

mediów i szkoły, w których sytuacja z Dudą skazuje nas rozwiązania doraźne, a oczekiwaniom społecznym zmiana władzy w zupełności wystarcza, aborcję odróżnia zdecydowanie głębszy problem polityczny.

Mój własny kłopot w tej sprawie polega na tym, że choć nie podzielam Hołowni przekonań i radykalnie odmiennie odeń uważam, że prawne ograniczenia aborcji choćby np. do 12. tygodnia są jawnym nonsensem, to zgadzam się z nim, że sprawa jest zbyt poważna, by ją głosować w zwykłym trybie w Sejmie.

Po pierwsze chodzi o normę konstytucyjnej rangi, która powinna mieć także gwarancje i wobec tego powinna być odporna na zmiany sejmowych większości. Praw kobiet nie może przecież znieść żadna bieżąca koniunktura, one muszą być trwałe, odporne na polityczne kampanie i kaprysy biskupów. Po drugie serio uważam, że politykom o sprawach tego rodzaju decydować po prostu nie wolno – prawo uchwalone jak konstytucja powinno im narzucić ramy, których mają przestrzegać bez gadania.

Ten fundamentalnie dla mnie ważny postulat pozostaje w ostrym konflikcie ze stanowiskiem walczących kobiet – Strajk Kobiet niemal zerwał kontakty z Obywatelami RP, twierdząc, że referendum chcą wyłącznie mizoginiczni zwolennicy patriarchy i że „praw człowieka się nie głosuje”.

Aborcja dobrze pokazuje więc specyfikę perspektywy spojrzenia, którą tu już sygnalizowałem. Problem jest większy niż tylko możliwe i groźne rozczarowanie uczestników „Ruchu 15 Października”. Wiele razy pisałem i mówiłem, że w demokrację w Polsce i jej solidne fundamenty uwierzę dopiero wtedy, kiedy właśnie sprawa aborcji zostanie rozstrzygnięta – nie wtedy, kiedy władza PiS upadnie, ale wtedy, kiedy na każdej władzy uda się wymusić respekt dla praw i postulatów społecznych.

Demokracja nie objawi się, kiedy nowa władza łaskawie nada kobietom prawa, ale wtedy, kiedy to rządzeni zdołają poszanowanie tych praw narzucić każdemu, kto rządzi.

Jeśli zdołalibyśmy je narzucić władzy otwarcie wrogiej prawom człowieka, ta zdobycz okazałaby się tym trwalsza, a podstawowa dla demokracji idea ograniczeń nakładanych rządzącym przez rządzone stałaby się zrozumiała i naturalna. Osiem ostatnich lat upłynęło mi właśnie na tym – na staraniach, by o upadku władzy PiS przesądziło zatrzymanie jej autorytarnego kursu w drodze wymuszanych na niej ustępstw. Wspomniana tu już sprawa z Kamińskim wpisywała się w ten sam nurt. Spowodowanie, by odwołał go Sejm z pisowską większością, byłoby gratką nie lada. Nie tylko zatrzymałoby to ów pisowski walec zanim on nabrał niemożliwego do powstrzymania rozpędu, ale wyznaczyłoby nieznaną w Polsce normę – oto my, rządzeni albo „my, naród” mamy wpływ na politykę, a normy, które wyznaczamy nie zależą od tego, czyja jest polityczna większość. Nie muszę wyjaśniać, jak bardzo przegrałem, choć wysiłki Obywateli RP bynajmniej nie były bezpłodne.

Konkluzje diagnozy. Sam mam dzisiaj to specyficzne i bardzo uwierające poczucie, że upadek PiS, choć od dawna bardzo pilnie potrzebny, nastąpił zbyt łatwo, pomimo całego koszmaru, który przeżyliśmy. Że PiS powinien upaść w wyniku przegranych batalii o sądy, o aborcję, szkołę i pozostałe sprawy. Że którakolwiek z tych spraw zdołałaby nie tylko odebrać im władzę, ale

równocześnie zbudowałyby poczucie obywatelskiej sprawczości i prawdziwy fundament demokratycznego ładu. Że bez tego fundamentu system okaże się nietrwały. Że osiem lat intensywnych lekcji konstytucyjnej demokracji w większości zmarnowaliśmy.

Żyliśmy zrozumiąłą przecież tęsknotą za lepszą władzą, upodabniając się tym do wyborców PiS, którzy chcieli przede wszystkim „wymiany elit”, rozbicia „kast” itd. Dziś jesteśmy przekonani, jak oni kiedyś, że nowi, łaskawi i światli władcy załatwią sprawę. Uważamy, że odzyskaliśmy wpływ na politykę państwa. Donald Tusk zρέcznie to podkreślił w *exposé*, cytując dane CBOS, w których wprost o to pytano ankietowanych – ale nie wspomniał, że podobnie sądziła inna i również liczna grupa wyborców po 2015 roku.

[P]olityka staje się na powrót źródłem istotnych egzystencjalnych sensów. Dostarcza objaśnień rzeczywistości i pomaga konfigurować tożsamości. Pozwala postrzegać własny wybór jako historycznie istotny, nawet jeśli nadal nie wynika z niego nic poza oddawaniem głosu w wyborach – tak pisał Rafał Matyja nie o nas, a o wyborcach PiS po 2015.

Nie chodzi mi przy tym o to, że głos w wyborach to mało, choć rzeczywiście tak jest. Ani o to, że oświecony absolutyzm pozostaje nadal absolutyzmem, nawet jeśli łaskawie nadaje prawa. Owszem, pozostaje, ale to drobiazg. Jest przecież nieporównanie lepszy od nieoświeconego. Problem w tym, że każdy absolutyzm zawsze będzie łatwiejszym niż demokratycznie rozproszona władza łupem dla nieokrzesañców przy każdej następnej okazji. I że pozostaniemy nawet bardziej bezbronni, niż byliśmy dotychczas. Tak bezbronni, jak dziś chcemy, żeby byli oni – ci, których dzisiaj słusznie chcemy zamykać w więzieniach i nawet zamykamy. A brak wpływu na politykę państwa nie tylko bywa oczywistym skutkiem niedostatków demokracji, ale bywa też – wciąż nieoczywistą – przyczyną jej załamania.

Cały ten powyższy przegląd wybranych sytuacji pokazuje, co będzie się w Polsce działo na obecnym etapie.

Będziemy wszyscy wspierać nasz rząd. Słusznie. Bo to jest właśnie nasz rząd. Tak chcieliśmy przez osiem lat. I tak wybraliśmy. Nie będziemy dbać ani o ustrój, ani o legalistyczną, konstytucyjną ortodoksję. Nie będziemy dbać również o zaniechania. Też słusznie – możliwości są, jakie są, nie da się tego ignorować, jak to zrobiła Helsińska Fundacja w sprawie telewizji. Skutek będzie jednak taki, że na tym etapie będziemy zarówno wspierać autorytarny model państwa, jak i mobilizować emocje do politycznej wojny z prawicą. Każdy postulat trwałej naprawy polskiej demokracji stanie w ostrym konflikcie z bieżącą pilną potrzebą utrzymania władzy demokratów. Dopóki w wojnie o władzę będziemy wygrywać, będzie nieźle, co nasze dzisiejsze myślenie usprawiedliwi. Źle będzie, kiedy przegramy. Będzie gorzej niż w przegranych znanych nam z przeszłości. I być może rzeczywiście tak już musi być.

Sam zakładam, że ani nie musi, ani nie wolno na to pozwolić. To jest jednak bardzo trudne. Trudniejsze niż w ciągu minionych ośmiu lat.

* * *

Co dalej?

Program Obywateli RP pozostaje w tej sytuacji aktualny właściwie w całości, bo chodziło w nim nie o to, żeby po prostu z PiS-em wygrać. Niech PiS rządzi praworządnie i zgodnie z konstytucją – tak powtarzaliśmy do momentu, w którym jawne deptanie prawa, szereg ordynarnych konstytucyjnych deliktów, coraz bardziej jawnie faszystowska polityka i wreszcie zbrodnie, których również nie zabrakło, odebrały władzy PiS legitymację i jakikolwiek legalny status. Chodziło nam jednak zawsze przede wszystkim o to, by zniknęły powody, dla których PiS mógł w ogóle przejąć władzę i by zniknęły również mechanizmy pozwalające Kaczyńskiemu skorzystać z tej władzy aż tak fatalnie.

Chodziło zatem o reformę konstytucyjną, której niezbędnymi elementami byłyby m.in. sprawy aż tak grube, jak rzeczywisty trójpodział władzy, gwarantujący nie tylko niezawisłość sądów, ale także nieobecność w całej historii III RP kontrolę rządu przez parlament. W oczach rządzonych parlament jest bowiem taką samą jak rząd emanacją tej samej politycznej większości, a nie ich własną reprezentacją, „patrzącą władzy na ręce”. To rujnuje legitymację systemu. A przy tym bez wątpienia podzielonej władzy nie dałoby się wziąć szturmem w całości, jak to zrobił PiS. Może warto się zastanowić, czy przypadkiem nie jest to niezbędny w polskiej rzeczywistości „bezpiecznik demokracji”? Europejskie demokracje, z których większość również nie zna trójpodziału władzy w tym klasycznym sensie, mają w zamian inne „bezpieczniki” na to miejsce. Groźnie dzieje się jednak już wszędzie, a zwłaszcza tam, gdzie polityka osuwa się w dwubiegunowy podział, jak to się dzieje w Polsce, i gdzie ustrój jest podobnie nieprzystosowany do tej sytuacji. Nie ma więc ani gwarancji trójpodziału, jak ją zapewnia np. system prezydencki, ani mechanizmu demokratycznego wyboru po każdej ze stron rywalizacji, jak to się dzieje w przypadku amerykańskich prawyborów, czy brytyjskiej rozbudowanej demokracji wewnątrzpartyjnej.

Z drugiej strony widać „drobiazgi”, jak właśnie wewnątrzpartyjna demokracja. Czy można pozwolić, by o władzę w demokracji ubiegały się wodzowskie struktury? Cóż, mamy niemal wyłącznie takie. Pal sześć demokratyczną przyzwoitość, którą pozycja wodzów w partiach ostentacyjnie obraża, choć nie martwi to bodaj nikogo – chodzi też o to, że jedna z wodzowskich partii skompromitowała demokrację w oczach wyborców praktykami jak z zaklętych rewirów, a inna dokonała zamachu stanu. Kaczyński zmuszony do planowania przejęcia TK na oczach tysięcy członków partii współdecydujących o polityce, miałby utrudnione zadanie. Jako partyjny satrapa nie mógłby startować w wyborach w prawdziwie praworządnym i demokratycznym państwie. Może właśnie ten, kompletnie niedoceniany pośród innych „bezpieczników demokracji” okazałby się skuteczny po prostu dlatego, że działałby z wyprzedzeniem?

Wreszcie z trzeciej strony chodziło w programie Obywateli RP o rozbrojenie społecznych i politycznych bomb takich jak właśnie aborcja, prawa gejów, uchodźców – wymieniać można długo.

Równocześnie ten program jest w całości dramatycznie nieaktualny – właśnie dlatego, że wygraliśmy i PiS władzę stracił. Kogo dziś może obchodzić reforma konstytucyjna, o którą

Obywatelom RP chodziło od początku? A gdyby nawet obchodziła – jak ją przeprowadzić, skoro nie da się przełamać weta Dudy, o większości konstytucyjnej nie wspominając?

Brutalna prawda jest taka, że wady systemu nie interesują nas, kiedy ten system jest nasz. Po prostu. Dochodzi do tego zrozumiałe przecież przeświadczenie, że każdy postulat trwałej zmiany systemu, stoi wbrew fundamentalnej potrzebie utrzymania zdobytej właśnie władzy. I jeszcze jednak pewność: konstytucyjna większość nie zdarzy się w Polsce na pewno w żadnej dającej się przewidzieć perspektywie.

O czym tu gadać wobec tego? I czy na pewno gmeranie w ustroju ma jakikolwiek sens?

Strach czy demokracja – wybór należy do nas

Niestety już dawno wybraliśmy. I my, rządzi, i oni, rządzący.

Aborcja, ale także każda inna wystarczająco poważna sprawa, pokazuje coś jeszcze. Trwałe rozwiązania wymagają silnej społecznej legitymacji. Muszą być przedmiotem społecznego kontraktu obejmującego obie strony dzisiejszego konfliktu. Jesteśmy wciąż nieświadomi oczywistości. Dwie z bardzo wielu:

- Pokój da się zawrzeć tylko z wrogiem, a nie z przyjacielem. To definicja pokoju, a nie gadanie marzyciela. Wróg pozostaje wtedy zaledwie przeciwnikiem. I dobrze. Na tym powinien polegać demokratyczny kompromis – nie na tym, że powstrzymujemy się przed czymkolwiek z lęku lub sondażowego wyrachowania.
- Im większy jest podział, im ostrzejsze są kontrowersje i im silniejsze są emocje w nie zaangażowane, tym bardziej kwestia powszechnej legitymizacji zyskuje, a nie traci na znaczeniu. Tym bardziej trzeba unikać rządów dekretami i szukać poparcia np. w referendum. Dokładnie tak, jak tego oczekuje nielubiany za to, choć skądinąd popularny Szymon Hołownia.

Aborcja zresztą dawno już przestała być dla kogokolwiek z polityków problemem do rozwiązania. Jak wiele innych spraw – wliczając w to nawet szczepienia, nie wspominając o emeryturach, szkole, polityce socjalnej, migracji – stała się zamiast tego polityczną bronią. Tykającą bombą. Ważne jest, by tykała – a nie, by wybuchła. Ze swej natury każda bomba nadaje się do jednorazowego użytku. Kaczyński stracił władzę, kiedy bombę odpaliła Przyłębska. To właśnie wtedy – a nie po żadnych miliardowych przewalach – sondaże PiS poleciały w dół po raz pierwszy i tak już zostało. Bomba działa, dopóki z przerażeniem słuchamy tykania – bo to właśnie ten lęk gna nas do urn wyborczych najskuteczniej ze wszystkiego.

Można się dziś zastanawiać nad źródłami owego cudu, który 15 października spowodował rekordowe 74% frekwencji i zwycięstwo wbrew wszelkim przedwyborczym kalkulacjom. Z pewnością było ich wiele. Obywatelscy aktywiści lubią widzieć znaczenie własnej aktywności i sądzą dzisiaj, że przyłożyli się do tej mobilizacji. Temu nie da się zaprzeczyć, ale sam patrzę na to inaczej – widzę więc raczej efekt niezwyklej roli i gigantycznej aktywności Donalda Tuska. Od czasu jego powrotu do Polski to wyłącznie on miał tu sprawczą siłę. I to wielką – realizował ją przecież choćby pojedynczym tweetem. Od tego czasu ani żadna masowa demonstracja, ani jakakolwiek inna inicjatywa nie miała szans powodzenia, jeśli o niej nie „zaćwierkał” Donald

Tusk. Moja własna intuicja (owszem, zawodna, ale twardych danych nikt nie zna) mówi mi zatem, że w tej niebywalej wyborczej mobilizacji chodziło nie o wzrost dojrzałego zaangażowania w sprawy publiczne, ale właśnie o strach, że wygrają „oni” i że będzie groza. Raczej nie o „egzystencjalne sensy”, o których pisał Matyja, ale właśnie o egzystencjalny strach. Ten strach będzie nas wciąż mobilizował, stając się w krytycznych momentach zapleczem każdej z wojujących stron. Utrwali wojenną politykę. Wszyscy będziemy na to grali. Inne wyjścia istnieją, ale wszystkie są trudniejsze i wymagają przede wszystkim odwagi – na żadne z nich niemal na pewno nie zdecyduje się więc nikt.

Nawet po usunięciu Dudy wojenne napięcie nie zniknie. Liberalni politycy jednak zapamiętali lekcje sześciolatków w szkołach i wieku emerytalnego. Wiedzą, że jeśli pójdą za daleko, nastąpi ludowy, populistyczny bunt. W ostatnio wydanych książkach Donald Tusk tak właśnie wyjaśniał przyczyny globalnych sukcesów populistycznej prawicy, z których tyle zrozumiał i nie więcej – „poszliśmy zbyt daleko, ludzie nie byli na to gotowi”. To stąd bierze się tradycyjne u liberałów kluczenie w „kwestiach światopoglądowych”, szokujące spoty wyborcze o niekontrolowanym zalewie migrantów, ostatnie wypowiedzi o reformie traktatów UE jako o właśnie idącej zbyt daleko. Lęk przed populistyczną reakcją nie zniknie i da o sobie znać jeszcze nie raz – np. w sprawie aborcji, regulacji stosunków z kościołem, w sprawie push-backów, nie miejmy wielu złudzeń. Ryzyko nie opłaca się w polityce. Podobnie jak odpalanie tykających bomb.

Powinniśmy wiedzieć, że polityczne kalkulacje we wszystkich tych sprawach biorą pod uwagę nie żadne prawo, ani tym bardziej własne programowe przekonania decydentów – ale to przede wszystkim, czy determinacja przełoży się tu na wystarczające poparcie dla władzy, czy może przeważą koszty wynikające z mobilizacji po tamtej stronie i fakt, że nikt tam nie zechce rozmawiać już o niczym, poza tym, że „reżim trzyma w więzieniach polskich patriotów”. To drażniące nas wyrachowanie polityków jest ich obowiązkiem – o tym również musimy wiedzieć. Ta wiedza każe nam zapomnieć o jakiegokolwiek „innej polityce”. Bo niby o jakiej?

Czy istnieje szansa konstytucyjnej większości?

Istnieje. Jest potrzebna, co powinno wynikać z diagnozy.

Konstytucyjna większość możliwa jest wyłącznie poza Sejmem – w Sejmie nie wydarzy się nigdy. Jeśli szukać rozwiązania, to wśród wyborców, wśród rządzonych zatem. Jeśli tego właśnie chcemy, musimy sobie uświadomić, że skazuje nas to na poszukiwanie zupełnie innych dróg niż te, do których polityka nas przyzwyczaiła.

Ale przede wszystkim – po co potrzebujemy konstytucyjnej większości?

Mowa tu już była o aborcji, która powinna być zdefiniowana jako jedna z wolności konstytucyjnych, i o szkole, której ustrój jest z całą pewnością niekonstytucyjny – choć (przynajmniej na pozór) nie odbiega on zanadto ani od europejskiej ani światowej normy. Ale w grę wchodzi dużo bardziej doniosłe zagadnienie. Mowa była tu również o tym jak bardzo parlament, stanowiący polityczne zaplecze rządu, zmienia się w maszynkę do głosowania rządowych ustaw, które tracą funkcje prawa wyznaczającego granice rządzącym, stając się narzędziem realizacji ich polityki. Po pierwsze taki stan prowadzi do marginalizacji znaczenia

parlamentu, choć czasem (jak np. teraz) bywa ciekawszy, bo odbywa się w nim wojna z opozycją – jej wynik jest jednak przesądzony z góry, a przy tym opozycja nie wyraża „głosu rządzonych”, ale na ogół jawi się jako uczestnik walki o władzę i nic więcej. To jedna z istotnych przyczyn kryzysu demokracji, jaki właśnie boleśnie przeżyliśmy – nie usunęliśmy jej i wciąż nam zagraża. Wszędzie na świecie, nie tylko u nas. Po drugie ten stan rzeczy oznacza słabość fundamentów i chwiejność – zwycięzca, jak tu o tym mowa była wielokrotnie, bierze wszystko. Nie miałby takiej możliwości, gdyby władza była rzeczywiście podzielona.

Szansę na zmianę tej podstawowej, najpoważniejszej i rujnącej wszystko zasadniczej wady polskiej demokracji pojawić się mogą niestety wyłącznie w kryzysowej sytuacji. Mieliśmy z takim kryzysem do czynienia przez osiem długich lat, w ciągu których bardzo świadomie zdecydowaliśmy się nie wykorzystać doświadczeń, wielkiego potencjału i ogromnych zdobyczy ruchu obywatelskiego protestu, rezygnując ze świadomej budowy systemu, w którym władza wyborczego zwycięzcy jest bardzo wyraźnie ograniczona prawem i „wolą ludu”.

Dziś więc, by dążyć do takiej zmiany, trzeba by liczyć na kolejny kryzys. A to byłoby samobójcze. Przeczyłoby oczywistej racji stanu.

Myślę jednak, że na taką sytuację trzeba się po prostu przygotować. Ów kryzys może się objawić np. w omawianej tu na różne sposoby sprawie aborcji, jeśli rzeczywiście zaniechania i „imposybilizm” sprawią, że choćby przed wyborami europejskimi późną wiosną tego roku zniknie ta dająca zwycięstwo wyjątkowa mobilizacja demokratów.

Na to, wydaje mi się, trzeba być gotowym nie tylko wtedy, kiedy się uważa tę sprawę za aż tak kluczową, jak ona wydaje się mnie – również wtedy, kiedy naszą być może jedyną, a z pewnością główną troską pozostaje po prostu utrzymanie władzy. Bo ona może się wtedy zachwiać. I wtedy również najbardziej zachowawczy z polityków zechcą być może poszukać nowych rozwiązań.

Stara alegoria Kuronia o pijanym kierowcy ciężarówki nocą i o zającu uciekającym przed nią szosą jest w bardzo specyficzny sposób aktualna. Zając powinien uciekać tak, by ciężarówka musiała wjechać do rowu, kiedy go przejedzie. Kierowca jest wprawdzie kompletnie pijany i prawie na pewno zignoruje zagrożenie – mówił Kuroń – ale taka strategia i tak pozostaje jedyną szansą zajączka. Dziwnie wyglądają dziś role i pewnie dostanę po łbie za posługiwanie się Kuroniem i walką z komuną w sposób nieuprawniony. W roli zajączka widzę niezupełnie Obywateli RP i innych gotowych być „delikatną opozycją”. To się może wydarzyć samo, jak to już wiemy, kiedy w wyniku „imposybilizmu” spadną sondażowe notowania rządzącej koalicji. W roli kierowcy natomiast – trzeźwego przynajmniej trochę, nieporównanie trzeźwiejszego niż komuna czy Kaczyński – widzę nie PiS, a rząd Donalda Tuska. Na tę sytuację trzeba być po prostu gotowym. Jest niestety prawdopodobna.

Uniknąć niewyobraźnego

Jeśli dziś wydaje się, że chcemy niemożliwego, niech będzie wiadomo, że robimy to, by uniknąć niewyobraźnego.

To ostatnie zdanie z mającego już ponad 60 lat programowego manifestu młodych amerykańskich kontestatorów. Mówiono o nich i sami o sobie mówili Nowa Lewica, choć w manifestie obok przywołań Sarte'a i Camusa był również np. dosłowny cytat z encykliki Jana XXIII. Chwilę później młodzi kontestatorzy wstrząsnęli potężnym mocarstwem. Nie tylko Ameryka zmieniła się radykalnie, ale wstrząsy o podobnej skali odczuł wówczas właściwie cały cywilizowany świat, choć żaden z ruchów protestu w politycznych kategoriach nie osiągnął niczego. Nigdzie np. nie doszło do zmiany władzy, zresztą nigdzie nikt nie próbował politycznej władzy zdobywać. Politycznie zmiany były często odwrotne. We Francji pozycję przywódcy utrwalił de Gaulle. W Stanach Zjednoczonych demokratycznego Johnsona zastąpił republikański Nixon, watażka i przestępca, a wśród powodów jego sukcesu była właśnie rewolucja hippisów, w tym wielka i brutalnie spacyfikowana demonstracja w trakcie Konwencji Demokratycznej w Chicago. Ta historia jest w Polsce jako tako znana z niezłego filmu o procesie chicagowskiej siódemki, dość popularnego na Netflixie. Ludzie byli bici za swoje długie włosy i dziwne maniery, obrywali pałami, łądownali w aresztach i więzieniach, często ginęli. Za frajer? No, niby tak.

Ruch kontestacji w USA podjął zaledwie jedną próbę bezpośredniego udziału w polityce. To było, kiedy czarnoskórych nędzarzy z rolniczego Południa rejestrowano jako wyborców demokratycznych po to, by umożliwić im obecność na Konwencji Demokratów i wpływ na prawybory. Znamy tę akcję z kolejnego, zdecydowanie bardziej popularnego filmu – *Missisipi w ogniu*. Głosa do niego powinna opowiedzieć o tym, jak czarni delegaci z Południa, których przyjazd okupiony był śmiercią wielu i niezliczonymi aktami brutalnej i trudnej do wyobrażenia przemocy, stanowili na Konwencji większość, a jednak zdecydowano posadzić ich z tyłu i bez prawa głosu, nazywając to w dodatku „kompromisem tylnych siedzeń”, co w okrutnie bezmyślny sposób nawiązywało do rasowej segregacji w autobusach. Później już nikt z kontestatorów niczego podobnego nie spróbował. Politycy to świnię, a polityka to chlew i gnój – zdecydowali zbuntowani młodzi. Na Konwencji Demokratycznej ruch kontestacji wystąpił przeciw nawet tej polityce, na której przychylność dałoby się jakoś liczyć, dając w ten sposób zwycięstwo republikańskiemu Nixonowi i do szczytu kompromitując kunktatorskich demokratów. Głupio? Być może. A jednak świat zmienił się nie do poznania. Droga do tej zmiany nie mogła wieść przez obecność w „dorostej polityce”.

Wspominam o tym, bo chyba warto wiedzieć, że rzeczywistość zmienia się nie tylko i nie przede wszystkim ustawami przegłosowywanymi w parlamentach polityczną większością.

Jedną z większych nieprawd, które wypowiedziano w ciągu minionych ośmiu lat, była właśnie ta pozorna oczywistość, że trzeba najpierw przejąć władzę, by móc zmienić cokolwiek.

Ustawy nieco łagodzące pisowską ofensywę na sądy zostały przecież wymuszone poza parlamentem, a głosowali za nimi parlamentarzyści PiS, a nie żadna większość zmontowana przez polityków opozycji. Ich gadanie o „nieubłaganej arytmetyce” sejmowych mandatów stawało się w tych momentach jawną bzdurą. Politycy opozycji nie skorzystali z szansy całkowitego zwycięstwa w batalii o sądy jeszcze w kadencji PiS. Woleli mówić „najpierw wygrajmy wybory”. No, wygraliśmy i co dalej?

Historia politycznych przewrotów pokazuje, że przejęcie władzy jest najgorszym, a nie najlepszym ze sposobów, jeśli reforma ma być gruntowna, a władza musi się wciąż bronić. Cholera, trzeba było o aborcję na serio walczyć za rządów PiS, zamiast mówić „nie teraz”. I trzeba było skutecznie walczyć w sprawie Kamińskiego. No, próżne gadanie – w każdym razie z całą pewnością „uniknąć niewyobraźnego” nie da się dzisiaj ustawa. Ani tym bardziej rozporządzeniem wydanym tak, by uniknąć weta Dudy. Jak można niewyobraźnego uniknąć?

Polityczne alibi

Choć w polityce nadal dominuje strach, a reforma ustroju i konstytucji nie obchodzi nikogo w dzisiejszym ogniu walki, to już aborcja – owszem. Nawet jeśli nie wierzyć, że prawa kobiet wymagają konstytucyjnego potwierdzenia, albo jeśli się uprzeć, że „praw człowieka się nie głosuje” i referendum w tej sprawie musi być katastrofą, trzeba będzie w końcu przyjąć do wiadomości, że nie istnieje żadne inne wyjście, jak tylko „uwolnić polityków” od rozstrzygania w tej sprawie.

Politycy PSL takie wyjście przyjęliby z ulgą. Rzeczywistym powodem ich odmowy głosowania za liberalizacją jest nie żaden „sprzeciw sumienia”, a fakt, że dużą część polityki robią w trakcie parafialnych odpustów w towarzystwie wiejskich proboszczów. Uznając prawa kobiet nie zyskają przecież i tak ani pół procenta głosów, głosując zaś przeciw, przynajmniej bronią się przed utratą tego minimalnego poparcia, które dziś mają. To jest nie tylko pat wywołany Dudą w pałacu prezydenckim. To jest ten sam pat, co zawsze. Dokładnie to samo wydarzyło się zresztą w Irlandii. Tamtejsi politycy wywodzili się przecież wszyscy z narodowo-katolickiej insurekcji. Stopniowo docierało do nich, że werdykt tamtejszego Zgromadzenia Obywatelskiego i później referendum dadzą im po prostu alibi.

„Nie nasza decyzja, księżo proboszczu”. Tak mogli mówić. I mówili. Powiedziałbym, szczęśliwie się złożyło.

Tamtejsze aktywistki również robiły początkowo, co tylko mogły, by referendum uniknąć – aż zorientowały się, że to jedyna metoda na polityków, że narzędziem jest reprezentatywne Zgromadzenie Obywatelskie i że w rezultacie szanse w referendum, które dotąd oceniały jako mizerne zgodnie z sondażami i przewidywaniami intensywnej kampanii wciąż potężnego kleru, rosną niepomierne. To może być szansa również dla nas – w tej sprawie albo w innej – by wyjść z kryzysu „imposybilizmu” i zagrożeń, które przyniesie.

To szansa także na uzyskanie „większości konstytucyjnej” wśród rządzonych, bo wśród rządzących ona nigdy możliwa nie będzie. Wreszcie to szansa na zakończenie polskiej wojny. Odebralibyśmy politykom broń, rozbroilibyśmy tykające bomby. To wielka rzecz, w dzisiejszej Polsce największa i najważniejsza do zrobienia. I oczywiście najtrudniejsza.

Co zrobić się da?

Przywykłem do tego pytania, zastępującego często w historii Polski i moim własnym życiu ważniejsze przecież pytanie, co zrobić chcemy. Za komuny rzut oka za mapę Eurazji sprowadzał

zimny prysznic na każdego – maleńka Polska na pograniczu potężnego sowieckiego imperium mogła co najwyżej ściągnąć na siebie kolejną katastrofę. Przez lata więc pytania, jakiej Polski chcemy, nie oznaczały niczego. Krytycznie ważne były pytania, co tu jest w ogóle możliwe. Przez osiem lat rządów PiS było w pewnym sensie podobnie. Sam robiłem przez ten czas wszystko, by pokazać, że sporo osiągnąć się da. Pokazałem nawet całkiem sporo, ale i tak nikt tego nie zauważył.

Cóż, proponuję skromne działanie wobec tak obezwładniająco wielkich wyzwań i wobec tego powszechnego wśród demokratów przekonania, że nowa władza załatwi wszystko, bo jest nasza. Proponuję więc nie aż Trzecią Izbę, choć to ona mogłaby stanowić początek budowania rzeczywistego trójpodziału władzy. Proponuję zaledwie kampanię na jej rzecz. Tak, byśmy jako społeczeństwo byli przygotowani, jeśli kryzys rzeczywiście nadejdzie. To nie my jesteśmy zajęczkiem. Ani kierowcą. Możemy tylko proponować nowe reguły gry. Chodzi o to, by móc je proponować skutecznie.

Bez pokazania „na ludziach” głosujących na PiS i na demokratów, że możliwa jest rozmowa przełamująca partyjne wojny na śmierć i życie, bez pokazania, że wyborcy wrogich obozów mają często wspólne zdanie – to się nie uda. Takiej kampanii, próbnym Zgromadzeniem Obywatelskim, testującym i pokazującym ich ogromne możliwości w wyjściu z polskiej wojny, jest poświęcony projekt, o którego sfinansowanie z grantów właśnie się staram.

Reprezentatywne, wylosowane Zgromadzenie Obywatelskie jest ideą niemal nieznaną w Polsce, niszową. Ci nieliczni, którzy ją znają, uznają ją za „ciepłe kluchy” z kategorii gadania o konsultacjach społecznych. Chodzi nie o konsultacje – to trzeba powiedzieć wprost – a o stanowiący głos rządzonych. O taki w dodatku, który rządzących ogranicza. Referendum przynajmniej w niektórych przypadkach ma tu również ogromną rolę do spełnienia. Ma jednak skądinąd zasłużenie złą prasę. I to z tym trzeba się zmierzyć.

Trzeba wiedzieć np., że w Irlandii długotrwałe obrady „Trzeciej Izby” ogniskowały uwagę opinii publicznej. Sprawily, że dla opinii werdykt „ludzi takich jak my” znaczył bardzo wiele. Że referendum stało się w tej sytuacji nie spektaklem populistycznych kampanii z jednej i drugiej strony, ale świadomą decyzją wynikającą z rzeczywistego namysłu.

A jednak – to trzeba wiedzieć również – kiedy zgodnie z normą transparentności transmitowano te obrady na żywo w Internecie, transmisje miały typowo po 500 widzów. „Demokracja deliberatywna” jest bowiem przy wszystkich swoich zaletach – a dokładniej właśnie z powodu tych zalet – przeraźliwie nudna. Tymczasem dzisiejsze transmisje sejmowe mają rekordową widownię i budzą wielkie emocje. Zgromadzenie Obywatelskie ich nie wzbudzi w ten sposób. Tam nikt na nikogo nie ma potrzeby wrzeszczeć, nikt nikogo nie będzie „orał” i miażdżył – tego robić nie wolno i nikt tym nie jest zainteresowany. Popisy oratorskie, dramatyczne przemowy, miny i gesty nie mają tu zastosowania. Tu nie ma karier i nie ma szans na popularność potrzebną w kolejnych wyborach, bo żadnej nowej kadencji po prostu nie będzie. Będzie co najwyżej losowanie wyłaniające kolejną reprezentatywną próbę „ludzi takich jak my” do rozwiązania kolejnego problemu. Reprezentację rządzonych, a nie aspirujących do rządzenia.

To wszystko trzeba umieć pokazać i „sprzedać”. W Irlandii tę rolę skutecznie wzięły na siebie media. W Polsce nie da się na nie liczyć. Polskie media od dawna pełnią funkcję cheerleaderów wrogich drużyn.

Tu trzeba fachowców od wiązania społecznej uwagi. I to nie byle jakich, bo do sprzedania jest raczej Penderecki, a nie Zenek Martyniuk.

To jedyna „programowa propozycja”, jaką dzisiaj mam. Ostrożna i skromna. O niej właśnie i opisanym tu kontekście chciałbym bardzo spokojnie porozmawiać z ludźmi i środowiskami patrzącymi z podobnej perspektywy. Skąd ta skromność? Po części wynika z rozpoznania społecznego potencjału dla takich działań, a on – mówiąc oględnie – nie jest wielki. Przede wszystkim jednak z zasady niepewności. Z obserwacji, że historia rzadko podąża logicznie przemyślanymi tropami, a jeszcze rzadziej ulega najbardziej nawet logicznie uzasadnionym koniecznościom. O tym też parę słów trzeba by powiedzieć, byśmy dobrze przemyśleli głębszy kontekst problemów.

* * *

Zasada niepewności

We własnym intelektualnym dorobku mam dwa „prawa Kasprzaka”. Pierwsze z nich mówi bardzo kategorycznie, że cokolwiek zjesz na hucznej imprezie, i tak rzygać będziesz potem zawsze marchewką z groszkiem. To tylko na pozór niepoważne, jak to jeszcze tu zobaczymy. Drugie „prawo Kasprzaka” w odróżnieniu od pierwszego nie jest moim oryginalnym wkładem w dorobek ludzkości. Jest też odwrotnością kategorycznej pewności pierwszego prawa i mówi, że historia nie powtarza się nigdy. Nigdy nie zdarza się, by zestaw tych samych okoliczności prowadził do choćby podobnych skutków. Proroctwa nie spełniają się nigdy. Ani krążące po Europie widmo komunizmu nie doprowadziło do rewolucji, ani nie nastąpił żaden koniec historii i wymieniać tak można długo, choć te wyliczanki byłyby obciążone bardzo poważnym ryzykiem, bo łatwo byłoby wówczas dojść do przekonania, że wszelkie kasandryczne proroctwa w rodzaju np. katastrofy klimatycznej są bujną na resorach i przecież zawsze „jakoś to będzie”. Prorocy mają na ogół przechlapane, choć bardzo wielu z nich ma rację. Wyznam, że sam mam dziś to samo poczucie racji – i mam również świadomość, że to jest racja przegrana.

Najwyraźniejszą osią wszystkiego, co napisałem powyżej jest przeświadczenie, że w fundamenty nowego ładu budowanego w Polsce po szczęśliwej zmianie władzy wkładamy właśnie cały zestaw tykających bomb i że to musi doprowadzić do nieszczęścia. Otóż wcale nie musi. Najprawdopodobniej będzie „jakoś”. Marchewka z groszkiem.

Bronić małych skurwysynów. Szubienica i wieczność.

Wciąż próbuję różnych sformułowań tego samego głównego pytania. Więc na przykład, co począć z marzeniami o lepszej Polsce – w Polsce rzeczywistej? Nie pierwszy raz to pytanie się pojawia. Stawiali je sobie ludzie wybitni. Znacznie ode mnie mądrzejsi. Od dawna wiem, że warto na te próby patrzeć uważnie zanim się podejmie własną. Innym też to polecam.

– *Trzeba będzie bronić małych skurwysynów przed większymi skurwysynami, przed procesami 24-godzinnymi, przed politycznym CBA – powiedział kiedyś Karol Modzelewski w [głośnym wówczas wywiadzie](#).*

– *Nie – protestował Grzegorz Sroczyński, który z Modzelewskim rozmawiał i marzeń o lepszej Polsce wyrzec się nie chciał.*

– *Tak właśnie będzie – Modzelewski był stanowczy.*

– *Nie. Odmawiam. Nie straszcie mnie już Kaczyńskim. Pan mi to robi, Michnik mi to robi, wszyscy rozsądni ludzie, których szanuję, już siódmy rok mi to robią. A potem idę i głosuję na różnych takich, którzy nawet bezpłatnych przedszkoli nie potrafią porządnie w Polsce załatwić. I ja już tak nie chcę, wypisuję się z tej zabawy.*

– *I będzie pan miał Kaczyńskiego.*

To było ponad dekadę temu, późnym latem 2013 roku, na dwa lata przed spełnieniem czarnego proroctwa. Tak wyglądało wtedy i tak wygląda również dzisiaj zderzenie marzeń z rzeczywistością. Sroczyński być może zagłosował na Razem w wyborach z 2015 roku. Wiemy, jak to się skończyło. Ale których to „małych skurwysynów” zdecydował się wtedy bronić Modzelewski? To jest dopiero pytanie naprawdę ciekawe i tu odpowiedzi nie znam. W każdym razie tak pojmowany pragmatyzm dyktowała Modzelewskiemu odpowiedzialność, a przecież

nie cynizm, o który akurat jego posądzać nie dało się nigdy. Idee ideami, ale naprawdę ważne było przecież, żebyśmy uniknęli rządów Kaczyńskiego – Modzelewski trafnie identyfikował najważniejszy element diagnozy i najpoważniejsze wynikające z niej zagrożenie. Te rachuby miały jednak ograniczony zakres ważności, o czym warto pamiętać również w dzisiejszych czasach – sam Modzelewski dobrze wiedział, że racjonalizm ograniczonego wyboru, choć oczywiście obowiązkowo konieczny, jednak w ostatecznym rachunku żadnej sprawy nie załatwi. I tylko odsuwa w czasie nieszczęście i tak nieuchronne. Dlaczego nieuchronne? No, o tym Sroczyński rozmawiał z Modzelewskim przez cały ten wywiad. I o tym rozmawiać przestaliśmy. To niedobrze.

Same zaś marzenia o lepszej Polsce – ich treść jest oczywiście tak bardzo wtórna, że niemal bez znaczenia wobec napięć konfliktu „małych skurwysynów” z tymi większymi. Wobec pytań o taktyczne przewagi. Może warto choć rzucić okiem, jak swoje marzenia definiowali w tej cytowanej rozmowie Modzelewski i Sroczyński. Ten ostatni mówi tu o bezpłatnych przedszkolach. W całej rozmowie było tego więcej – eksmisje na bruk, nierówność w edukacji, kompletny zanik solidarności społecznej, nieobecność polityki socjalnej. Modzelewski wspominał, jak kiedyś zrugał Wałęsę za zdanie „walczyliśmy o kapitalizm i zwyciężyliśmy”. Mówił, że za kapitalizm nie siedziałby w więzieniu ani dnia. Należy wątpić, czy Modzelewski – największy i najlepszy z moich mistrzów – przesiedziałby choć tydzień za bezpłatne przedszkola, choć za demokratyczny socjalizm owszem, przesiedział swój pierwszy wyrok. Tym, co nim powodowało naprawdę, byli inni ludzie, ich wolność i solidarność z nimi. To temat osobnej rozmowy.

Tu warto zauważyć tymczasem – i zapisać sobie na boku dla pamięci – że bezpłatne przedszkola, polityka socjalna i nawet ustrojowe umocowanie społeczeństwa obywatelskiego w zawodowej, „dorosłej polityce”, to coś, co od dekad wyróżniało np. Szwecję i było przedmiotem tęsknych westchnień polskich socjaldemokratów oraz źródłem nadziei w poszukiwaniu jakiejś „trzeciej drogi” – racjonalnej, a nie utopijnej. Tyle tylko, że w Szwecji wybory wygrali niedawno prawacy populisci. Zatem szwedzkie przedszkola źródłem populizmu też nie wysuszyły. Nie znamy dobrych odpowiedzi i nie wiemy, co je może wysuszyć. Być może dobre odpowiedzi po prostu nie istnieją.

– *[W]ciąż roimy sobie, że da się ten system jakoś uklepać i będzie dobrze – tak z kolei odpowiadał temu samemu Sroczyńskiemu Marcin Król w [wywiadzie z początku 2014 roku](#), więc tylko nieco późniejszym. – W pewnym sensie na poziomie europejskim sprawdza się idiotyczna teoria o końcu historii rozpropagowana przez Fukuyamę. Skoro demokracja liberalna to ostateczny etap rozwoju ludzkości, no to będzie trwać sama z siebie, ot tak, nie trzeba sobie tym głowy zawracać. Świat może nie jest idealny, ale jednak znośny, wystarczy go skorygować, posprzątać, tu i ówdzie pogmerać, żeby rośło 4 procent, a nie 3, i jakoś przetrwamy. Nic złego już się nie wydarzy. I to właśnie jest bardzo groźne.*

– *Bo?*

– *Bo jak się zdarzy to "coś", to możemy wisieć na latarniach. Po prostu. Nic nie robiąc, hodujemy siły, które zmieniają świat po swojemu. I nie będą negocjować.*

– *Kto?*

– *Choćby nacjonałisci. Przecież idzie ta fala.*

No, i nawet przyszła. W Europie głupawy optymizm Fukuyamy też się wyczerpuje. Ostatnio po Włoszech i Szwecji, także w Szwajcarii, Holandii oraz – dość oczywiście – w Serbii. W Polsce nikt Marcinowi Królowi nie podziękował za przestrogi ani nie przeprosił za ich ignorowanie. To między innymi o nim Tusk wypowiadał swoje *bon moty*, mówiąc, że jak ktoś ma wizje, to może czas zacząć się leczyć. Marcin Król był kolejnym z moich mistrzów, a choć odleglejszym ideowo, to z tego powodu w pewien sposób dla mnie może nawet ciekawszym od Modzelewskiego. „Jakoś uklepać i będzie dobrze” – to zdekonstruowany przez liberalnego Króla program dzisiejszych politycznych liberałów, postrzegany przy tym przezeń w ustrojowych kategoriach jako głęboko nieetyczny i przez to w istocie obcy pierwotnej liberalnej idei. Jego propozycją była klasyczna triada: wolność, równość, braterstwo – przeciwstawione „gmeraniu”. Jak jednak krytycznie ważne okazuje się w rzeczywistości to „uklepywanie”, widzimy – choćby wspominając szturm Kapitolu. „Tu i ówdzie pogmerać” jest naprawdę dramatycznie pilnym zadaniem. Ale jest równie dramatycznie niewystarczające – „będzie dobrze” jest obietnicą z całą pewnością fałszywą.

Demokracja – jak miłość, nienawiść, przeznaczenie, tajemnica istnienia – jest od zawsze na liście tematów zajmujących najtęższe umysły. Zawsze też opisywano wpisany w nią kryzys. Arystoteles, de Tocqueville, Smith, Marks, Arendt, Fromm, Kołakowski, Bauman, Modzelewski, Król. Ich dorobek powinien być znany, a jest niedostatecznie, ale warto zauważyć co innego: ich przestrogi zawsze ignorowano. I przecież historia jakoś się toczyła, choć wbrew potocznej pamięci i jej wyobrażeniom nie polegała na stałym postępie i rozwoju demokracji – kryzysów i prawdziwych rzezi było w niej zawsze sporo. „Uklepywanie” – w odróżnieniu od kryzysów, zagrożeń i katastrof – nie doczekało się żadnych opisów teoretycznych. Reguła „jakoś to będzie” wymyka się politycznej filozofii, choć od dawna jest wyłączną treścią politycznej praktyki. Za to rewolucje opisano równie gruntownie jak kryzysowe sprzeczności demokracji – i to oczywiście dlatego zarówno Król, jak i Modzelewski odmawiali Sroczyńskiemu ideowych manifestów. Marzenia obu tych bardzo od siebie różnych mędrców okazują się zaskakująco bliskie, jeśli je zderzyć z kryzysem rzeczywistości, ale już zupełnie identycznie obaj machali na nie ręką. Ich rezygnacja była porażająca.

Dzisiaj podobna rezygnacja jest również moim udziałem. Nie z powodu poczucia własnej porażki – choć ono jest we mnie skądinąd silne – ale właśnie dlatego, że wiem, jak to było z próbami innych ludzi. O odróżnieniu ode mnie wybitnych, najwybitniejszych.

W *Korzeniach totalitaryzmu* Arendt napisała:

Być może jest nawet tak, że prawdziwe kłopoty naszych czasów przyjmą autentyczną, choć niekoniecznie najokrutniejszą postać dopiero wtedy, kiedy totalitaryzm będzie już należał do przeszłości.

Wiele wskazuje, że jesteśmy świadkami owych „prawdziwych kłopotów”. Jeśli tak, to może wypadałoby choćby spojrzeć na owe korzenie, które Arendt wskazuje. Opisuje np. *człowieka zbędnego*, o którym mówił również Marcin Król – kogoś, kto ma raczej funkcje niż role, o celach nie wspominając, a jeśli w ogóle uczestniczy w jakiejś wspólnotce, to jest pozbawiony więzi, relacji, żyje złudzeniem podmiotowości, albo ona do niczego już potrzebna mu nie jest i z niej rezygnuje mniej lub bardziej świadomie. Ujęte w ten sposób źródło totalitarnych żywiołów tkwi w ponowoczesnym, liberalnym świecie, w niewystarczającej, oświeceniowej koncepcji

wolności, która kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność cudza. A być może w końcu historii ogłoszonym przez Fukuyamę. Jeśli tak, to kłopot miałby charakter naprawdę fundamentalny i nie byłby możliwy do załatwienia ani „uklepywaniem”, ani obroną „małych skurwysynów”.

[P]owiesz nas pewnego pięknego poranka naprzeciw ołtarza Ojczyzny – mógłby napisać Marcin Król, a napisał Zygmunt Krasiński bardzo dawno temu. Po powstaniu listopadowym, oczywiście po francuskiej rewolucji, ale też i haitańskiej.

– Czas nadszedł, czas się musi wypełnić. Radykalizm podniesie nas, by nas obalić i zetrzeć z oblicza ziemi. [...] A później przyjdzie szubienica i wieczność.

Być może historia zatoczyła kolejne ze swych kół. Być może wolność równość i braterstwo należą się tym wszystkim *ludziom zbędnym*, których wściekły bełkot słyszymy i ignorujemy wyniośle, albo czasem ścigamy karnie po co bardziej dzikich jego ucieleśnieniach. Być może bronimy *ancien régime'u* jak chciałby Krasiński, ale w odróżnieniu od niego nie wiedząc, co nas czeka i kto tu ma historię za sobą. Ale może Krasiński zwyczajnie histerycznie ulegał frenetycznym wątkom własnej romantycznej twórczości i w końcu jednak „jakoś będzie”. Żaden radykalizm, żaden dziki tłum Krasińskiego nie powiesił. Umarł sam z siebie, choć młodo. Na gruźlicę, nie na politykę. Próbuje o tym pamiętać, kiedy sam prorokuje.

Kasandra miała przede wszystkim świra. Czy miała rację?

Co najmniej zdarzało się jej – inaczej przecież nie wiedzielibyśmy o niej. Kiedy się dziś czyta cytowane tu wypowiedzi Modzelewskiego sprzed dekady, da się go uznać za przenikliwego proroka, którego ostrzeżeń nie posłuchano i stało się to, przed czym przestrzegał. Ale to pozór. Swoje proroctwa Modzelewski wygłaszał w III RP stale, od samego początku. Był jak świadek Jehowy – prorokowany przez nich Koniec nastąpi kiedyś naprawdę. Naprawdę zgaśnie Słońce, a ludzkość przecież zniknie z powierzchni Ziemi grubo wcześniej.

U progu III RP w reakcji na plan Balcerowicza, Modzelewski przepowiadał, że to się musi skończyć katastrofą i że demokracja nie ma w tej sytuacji szans powodzenia. Mówił nie tylko o fiskalizmie, który istotnie doprowadził nas wszystkich do nędzy, niektórych do skrajnej, ale również o samym pomysle, by nagle o wszystkim decydował wolny, nieregulowany rynek. Mówił – przecież słusznie – że upaść musi wkrótce cały państwowy wielki przemysł, dający zatrudnienie ogromnej większości oraz rolnictwo, które w tak określonej rzeczywistości nie będzie się w stanie obronić. Modzelewski mówił także – nie tylko prawacy to mówili – o wykluczonych. I o związanej z tym wielkiej, historycznej niesprawiedliwości.

W pewien sposób sytuacja była podobna do dzisiejszej – nie dało się wówczas wyobrazić sobie opozycji wobec rządu Mazowieckiego, która nie naruszałaby polskiej racji stanu. Trudniej niż dzisiaj było wówczas również wymyślić jakąś alternatywną „trzecią drogę”. Modzelewski proponował przynajmniej dać wykluczonym polityczną reprezentację, by chociaż tyle mieli z całego zamieszania, że w demokracji uczestniczą, a instytucje państwa należą do nich. Jednak powołana wówczas Solidarność Pracy, potem przekształcona w Unię Pracy ani nie uzyskała poparcia tych, których chciała reprezentować, ani nie odegrała właściwie żadnej roli. Dobrze wiem, że z Trzecią Izłą byłoby podobnie.

Nie spełniły się również kasandryczne proroctwa. No, przydarzył się nam Tymiński, był katastrofalny rząd Olszewskiego, zdarzyło się mnóstwo rzeczy fatalnych, ale demokracja przecież nie upadła. Również z nędzy podnieśliśmy się jakoś(!) jeszcze zanim szerokim strumieniem popłynęły do nas unijne fundusze. Modzelewskiego przestano słuchać. Kasandrę przeklął zawiedziony w amorach Apollo. Odtąd nikt jej nie wierzył. Miała wariackie papiery i prorocy do dziś je mają. A może jednak proroctwa Modzelewskiego się spełniły? Może kryzys rządów PiS naprawdę miał korzenie w tej założycielskiej niesprawiedliwości III RP?

Nie tylko Modzelewski myślał w ten sposób. Ze zdecydowanie odmiennych pozycji ideowych podobne wnioski wyciągała np. Jadwiga Staniszkis. Jeszcze bodaj w 1986 roku napisała esej o tym, że demokracja w Polsce nie jest możliwa. Dziwnie się to czytało, bo Staniszkis zadawała pytania, co będzie się działo w Polsce po wolnych wyborach, a to w 86 roku budziło zrozumiałe zdumienie. Diagnoza Staniszkis była szersza niż Modzelewskiego. Nie tylko przemysł i rolnictwo – wszystko w Polsce przerosnięte było komunistyczną patologią, w której nie tylko nauczyliśmy się żyć, ale także nauczyliśmy się żyć z niej. Każda zatem przemiana – i demokratyczna, i wolnorynkowa – musi naruszyć najbardziej podstawowe interesy tak wielkich grup społecznych, że najdalej w dwa lata po wolnych wyborach nastąpią kolejne, w których komuniści wrócą do władzy. Nie w wyniku przewrotu, ale po prostu głosami ludzi.

O ile Modzelewski postulował polityczną reprezentację wykluczonych, Staniszkis wymieniła z tej okazji Pinocheta – jej zdaniem nie dało się w Polsce uniknąć przejściowej dyktatury, która z grubsza przestawiwszy kraj na wolnorynkowe tory, zechce potem oddać władzę demokracji. To stąd brały się jej inaczej trudno zrozumiałe sympatie dla politycznych inicjatyw Kaczyńskich i poważne traktowanie niemal wszystkiego, co wygadywał Lech Wałęsa. Tak bardzo chciała mieć opatrnościowych mężów broniących jej przed komuną, że gotowa była w tej roli obsadzić Pinocheta, więc Kaczyńskich tym bardziej.

No, SLD wygrało wybory nieco później niż to Staniszkis prorokowała, ale pomyłka nie była wielka. Tyle, że to już nie byli ci sami komuniści. I kraj był już zupełnie inny. Nie nastąpił żaden upadek na wieszczoną przez nią skalę. Oboje z Modzelewskim pominęli czynniki, które w istocie przesądziły. Jednym z nich był patriotyzm Polaków i ich przekonanie, że racja stanu, dramatyczna potrzeba, pojmowana w tych charakterystycznych dla nas, idiotycznie romantycznych kategoriach, każe nam dla dobra Ojczyzny wytrzymać wszystko. Innym czynnikiem była szybko postępująca alienacja od polityki i szybkie ukształtowanie się „elit”, które wprawdzie nie były aż Pinochetem, ale które swojej wyjątkowości w kreowaniu polityki zdołały wyjątkowo skutecznie bronić mimo wszystkich wstrząsów.

Tak patrząc, łatwo dostrzec zarówno korzenie tego, co się nam przytrafiło w 2015 roku, jak i nieuniknioną, jak się zdaje, powtórkę w przyszłości, którą właśnie zaczęliśmy kształtować. Z tym samym poczuciem racji stanu i z tą samą alienacją od polityki.

Jestem przekonany, że broniąc się dziś przed prawackim populizmem i bandyckim PiS w szczególności, w rzeczywistości inwestujemy w dynamit w fundamentach państwa. Jestem pewien, że ład, jaki zbudujemy splątani koniecznościami tradycyjnej polityki, musi – wbrew intencjom wszystkich – doprowadzić do katastrofy znacznie groźniejszej niż te osiem lat władzy kretynów o bandyckich skłonnościach, które szczęśliwie mamy za sobą.

Jestem pewien, że zastępując pisowską telewizję, lepszą telewizją własną, w istocie umacniamy zręby autokratyzmu i tworzymy nowe, podobnie jak zamieniając Czarnka na kogokolwiek, a nie dotykając patriarchalnego ustroju szkoły. Wyjść z kryzysu demokracji da się wyłącznie oferując więcej demokracji.

Michnik ma zawsze rację. Porzygaliśmy się marchewką i groszkiem

Michnik, kolejny z moich mistrzów, a wraz z moim ojcem ostatni z żyjących, rację ma nawet wtedy, kiedy zalicza spektakularne wtopy, jak z ową zakonnicą, którą musiałby na pasach przejechać Komorowski, by przegrać wybory.

W 2016 roku, kiedy władza PiS jeszcze się rozpędzała, ale już dobitnie pokazała, dokąd zmierza, mówiło się często o przedterminowych wyborach lub o „polskim Majdanie”, który miałby ten koszmar zatrzymać. Adam Michnik mówił wtedy przy każdej publicznej okazji, że nie tak wygląda i nie tak powinna wyglądać polska polityczna historia. Mówił wówczas często, że władzy w Polsce nie zdobywa się w rzeczywistości nigdy. W Polsce władzę się zawsze tylko traci. Czasem w wyniku skandali, częściej zwykłego wyczerpania. Sukcesu nie przynosi żadna programowa ofensywa opozycji i żadne społeczne wzmożenie. Władza na ogół upada pod własnym ciężarem, plącąc się we własne nogi, a nie dlatego, że ktoś jej te nogi podciął. Michnik studził gorące głowy twierdząc, że tak będzie również tym razem i to o tyle szybciej – tu się znów pomylił – że ekipa PiS jest przecież wyjątkowo nieudolna. Ta diagnoza polskiej polityki jest trafna. Tak się da interpretować wszystkie kolejne zmiany władzy, włącznie nawet z tą pierwszą, założycielską i fundamentalną z 1989 roku – przecież jej nie wywalczyliśmy strajkami, choć bardzo próbowaliśmy. Kolos po prostu zachwiał się i upadł, osiągnąwszy kres własnej żywotności. Stało się to na Kremlu, a nie w Warszawie czy Gdańsku.

Przy tym nie tylko o diagnozę chodziło, ale również właśnie o studzenie gorących głów. Może zwłaszcza o to. O zachowanie parlamentarnego obyczaju i znaczenia wyborczej kartki zamiast rewolucyjnych szturmów, z których rzadko wynika cokolwiek dobrego i trwałego. Słuchałem uważnie tego kategorycznego napominania – jako jeden z rewolucjonistów. Kiwając zresztą potakująco głową, bo zgadzałem się i z diagnozą, i z postulatem zachowania parlamentarnego porządku. Nie o rewolucyjnym szturmie marzyłem. Nie o Majdanie i nie o skróceniu kadencji PiS – choć nieco później kilka ostrych konstytucyjnych szwindli powinno ją spowodować. Uważałem przede wszystkim, że czas złych rządów PiS tworzy unikalną okazję zbudowania obywatelskiej sprawczości w polityce i sądziłem, że nawet wiem, jak to zrobić. Michnik mówił nam, że owszem, protestować trzeba. Że trzeba budować krytyczną opinię publiczną. Ale rozstrzygnięcie przyjdzie tak, jak przyjąć powinno – w wyborach. Ster przejmą w nich ludzie właściwi i do tego powołani, choć oni należą do kulawej rzeczywistości politycznego obyczaju jaki znamy i jaki krytykujemy skądinąd słusznie.

Adam Michnik nie tylko jest z jednym moich mistrzów, nie tylko czytanie Michnika zrobiło ze mnie, kim dzisiaj jestem w największym stopniu (bo np. Modzelewski ku mojej rozpaczycy pisał mniej) – ale i nie zgadzam się z nim fundamentalnie. I jest to irytująco bezsilna niezgoda – bo oczywiście wdawać się w spór z Michnikiem jest czystym szaleństwem. Chodzi tu nie o różnicę zdań czy ocen, ale o fundamentalną różnicę perspektyw. Michnik ma wyraźnie ograniczone oczekiwania. To na tym polega różnica perspektyw. I na tym polega jego racja.

O kasandrycznych przestrożach Króla, Modzelewskiego i innych Michnik mawiał na ogół lekceważąco, że są przede wszystkim naiwne przy wszystkich czasem celnych diagnozach. Przeciwstawiony tej naiwności dorosły realizm Michnika tym między innymi się objawia, że ten akurat mędrzec – choć był i pozostaje w Polsce jednym z najbardziej płodnych i inspirujących twórców idei – nigdy nie sformułował żadnej wizji Polski, która chwyciłaby za serca i która dawałaby szansę budowy ładu odpornego na zagrożenia. Nie mówił ani o wolności, równości i braterstwie, ani o darmowych przedszkolach, ludziach zbędnych czy wykluczonych. W III RP mówił wyłącznie o banałach. Europa, NATO, wolność i demokracja (z równością akurat u niego jest nieco słabiej). Te ogólnikowe oczywistości bynajmniej nie są jednak oczywiste dla każdego. Bywają zagrożone, co właśnie przez osiem lat oglądaliśmy. Choć wydają się dane na zawsze, okazuje się wciąż, że trzeba za nie płacić.

Jaka powinna być natomiast np. społeczna polityka państwa – tu Michnik nie mówił niczego poza tezę, że tradycyjny program socjaldemokracji dawno już się zrealizował i dziś jest po prostu wyczerpany. Jak powinien wyglądać ustrój, np. system *checks and balances* i trójpodział władzy – też nic. Poczynając od założycielskiego dla III RP hasła „[wasz prezydent, nasz premier](#)”, które wyznaczyło nam ustrój bardziej niż ktokolwiek się spodziewał i to w kierunku całkowicie nieoczekiwanym, Michnik przez trzy dekady powtarzał „jakoś to będzie”, dbając o to wyłącznie, by kurs prowadził w stronę Europy i NATO oraz by ster trzymał zawsze ktoś obliczalny i rozsądny, kto z tego kursu nie zbroczy. Sto konkretów Tuska było zdecydowanie nie dla niego. Michnik ich do niczego nie potrzebował. Zawsze mądrze godził się z kondycją świata, która nie budzi zachwyty.

Jeśli jednak Michnika ocena rzeczywistości jest prawdziwa, to jest fatalna. I przerażająca. Oznacza, że w realnej polityce nie liczy się ani żadna racja, ani niczyja wola. Nie liczy się więc żaden lepszy pomysł na Polskę – co więcej, każdy w nich jest w istocie groźny, bo odsuwa z centrum uwagi te wszystkie fundamentalne banały, a miewają te pomysły zawsze ludzie w polityce niesprawdzeni, skoro sprawdzają się wyłącznie ci, którzy umieją grać tym, co w polityce znamy. Nie liczy się też żadna „wola ludu” – również ona jest w rzeczywistości groźna, bo lud wybiera populistów i ulega krzykaczom, taki już jest. Nie o to chodzi, że się z taką perspektywą nie zgadzam, choć to prawda. Chodzi o to, że jeśli Michnik ma rację, to miałby ją również Zygmunt Krasiński. Szubienica i wieczność. Historii zatrzymać się nie da. Fukuyama racji miał tyle, co Ludwik XVI, a świat zrozumiał, jak Maria Austriaczka. Michnik to wie.

Michnika spotkałem ostatnio na demonstracji białoruskiej emigracji politycznej. On jest nie do zdarcia. Przyszedł, bo wie, że to ważne – choć nie zjawił się żaden z zaproszonych parlamentarzystów. Był koniec listopada, wiało, było przenikliwie zimno, a Białorusini wymieniali swoich ostatnio mordowanych i więzionych bohaterów, co trwało w nieskończoność. Dygotaliśmy. Staliśmy chwilę razem, patrzyłem na Michnika, wspominając nieliczne i nieśmiałe próby sporu i to, jak go Michnik ucinął razem ze społecznymi inicjatywami, które chciałyby – nie daj Boże – mieć wpływ na polską politykę. Moje też ucinął z całą bezwzględnością.

- *Wyszło na jego, jak zawsze* – pomyślałem, uśmiechając się, kiedy zapytał, co słysząc.
- *No, będzie niezłe* – powiedziałem zamiast tego. Wiedziałem, że Białorusinom Michnik powie zaraz o kolejnym polskim pokojowym zwycięstwie, które daje nadzieję. Nie

pomyliłem się – tak właśnie mówił, choć lepiej ode mnie wiedział, że w Polsce żadnej nadziei Białorusini nie znajdują, bo przynieść ją może tylko upadek Rosji. A w Rosji protesty już były. I minęły, stłumione zresztą według wzorców, które wyznaczył Łukaszenko długo zanim w Rosji te wzorce stały się na powrót modne.

– *Ubrałbyś się cieplej* – powiedział Michnik do mnie, widząc moje dygotanie na przenikliwym zimnie i litościwie oszczędzając mi rozmowy o polityce. Sam też dygotał, ale nie aż tak bardzo.

– *Ciepło mi* – odpowiedziałem, próbując żartować nieudolnie – *to tylko Parkinson. A u ciebie co słychać?*

No, po staremu oczywiście. Nie ma wielkiej potrzeby, by polską demokrację naprawiać. Uff, jakoś wylądowaliśmy, a choć w kabinie siedziło paru szaleńców, to jednak w końcu ster mocno chwycił ktoś, kto wiedział, dokąd polecieć. I, co ważniejsze, umiał dolecieć. Jest nieźle tu, gdzie wylądowaliśmy. Choć poza wszystkim, co już tu wymieniałem, nowy rząd jest np. rekordowo liczebny i rekordowo kosztowny – i chyba już większość parlamentarzystów rządzącej koalicji trafiła na rządowe posady, co powinno ich dyskwalifikować jako posłanki i posłów. Jak kiedyś piłka nożna polegała na tym, że cokolwiek się działo na boisku, na koniec zawsze wygrywali Niemcy, tak dziś polityka na tym właśnie polega, że rację ma zawsze Adam Michnik. Ja takiej polityki nie chcę, choć dobrze ją rozumiem i wiem, że to Michnik jest realistą i jego jest na wierzchu. Nie Króla, nie Modzelewskiego, nawet nie Arendt i nie Tocqueville'a. Jego.

Sam przecież prędzej uwierzę jego ocenie rzeczywistości niż własnej. Rzecz w tym, że trafność widzenia nie może oznaczać zgody na widzianą rzeczywistość. Bardzo zdecydowanie odrzucam tę zgodę jako jedną z kilku przyczyn fundamentalnego zła w polityce.

Tymczasem jednak doniosłość „pierwszego prawa Kasprzaka” – tego o marchewce z groszkiem – polega na tym, że ono pokazuje w spektakularny sposób, jak matematyczna teoria złożoności demonstruje się w codziennym życiu (o ile oczywiście codziennością jest dla kogokolwiek rzygać po imprezie). Niepowtarzalność historii bierze się ze zjawisk charakterystycznych dla teorii chaosu. Zderzenie dwóch lub trzech kul bilardowych bywa całkowicie przewidywalne przy pewnej wprawie bilardzisty. Kiedy jednak rozbijamy piramidkę, zderzeń jest tyle, że minimalne, niewidoczne gołym okiem odchylenie toru powoduje radykalnie różne skutki, których przewidzieć się nie da. Teoria złożoności oraz „prawo Kasprzaka” stają jednak ponad tym chaosem i pokazują kolejny etap uogólnienia. Zasadniczo różne, nie mające ze sobą niczego wspólnego zjawiska elementarne, przy odpowiednio dużej złożoności zdarzeń, powodują efekty tak bardzo nieodróżnialne, że w istocie tożsame. Zawsze jest „jakoś”. Zawsze jest więc niekoniecznie szubienica i wieczność, ale po prostu marchewka z groszkiem. Zbyt wiele kasandrycznych proroctw widziałem, by o tym nie wiedzieć. Na własne patrzę więc z dystansem i nigdy nikogo nie narażę na ryzyko w ich imię. To stąd umiarkowanie propozycji Trzeciej Izby.

Odwyk

Nic nie poradzę, piszę z osobistej perspektywy. A to jest w dodatku perspektywa porażki, wobec której łatwo posądzić mnie o frustrację, co zresztą często słyszę. Co gorsza, ma też ta

perspektywa wszystkie cechy uciążliwego odwyku – i w żadnym razie to nie jest przypadkowe sformułowanie. Ostatnie lata spędziłem w charakterze „zawodowego rewolucjonisty” na pełen etat, właściwie na co najmniej dwa. Nie pierwszy raz przeżywam taki moment – podobnie miałem po '89 roku. O ile czasów PRL nie da się prawdziwie porównać do ośmiu lat PiS, o tyle udział w ruchu protestu angażował tak samo i podobne emocje wyzwalał. Adrenalina na dłuższą metę uzależnia zaś po prostu fizjologicznie – dokładnie jak narkotyk, odstawienie bywa odczuwalne w bardzo podobny sposób. W świecie wielkich spraw żyje się wspaniale, zapewniam – po tak długim locie na tak euforycznie oszałamiających wysokościach lądowanie w szarej rzeczywistości bywa trudne. Nie każdy umie i nie każdy ma czym wypełnić pustkę ziejącą w duszy, dotąd wypełnionej „wielką sprawą”, nie każdy umie się z tą pustką uporać. Lata zaległości, często rujnujących – wiem coś o tym – bywają przy tym po prostu trudne, a czasem niemożliwe do odrobienia.

No, to są wszystko oczywiście wstydliwie psychiatryczne zagadnienia, ale warto choćby pobieżnie uświadomić sobie, jak niebezpieczni bywają weterani rewolucji. Łącznie z przypadkami psychiatrycznymi, do których prawdopodobnie zalicza się np. i Macierewicz, i Kaczyński, i ładnych parę innych osób. Cóż, do rewolucji garnie się zwykle nieproporcjonalnie wysoka reprezentacja osób z zaburzeniami – rewolucjoniści przyznają to rzadko, bo to przecież zawstydzające, ale przy wódce z upodobaniem opowiadają o tym ze swadą barwne historie. Ludzie, których zaburzona osobowość potrzebuje np. wielkiej misji i spisku tajnych służb, czują się świetnie w ruchach rewolucyjnych, bo tu tajnych służb nie trzeba wymyślać. Nietrudno sobie wyobrazić, co się dzieje, kiedy policyjna obstawa znika, a z nią poczucie własnej wartości – to akurat dotyka wszystkich weteranów, nie tylko wariatów.

Ludzi skądinąd zdrowych kombatanckie frustracje przywodzą do zachowań o konsekwencjach już czysto politycznych, choć nadal chorobliwych. To tym bardziej groźne. Znam całe rzesze niespełnionych bohaterów z lat PRL, znam ich teksty o powszechnej zdradzie ideałów, oszustwie, przekupstwie. Wszystkie te „nie o taką Polskę walczyłem”...

Poza częstymi przypadkami marskości wątroby, rozwodami, różnymi innymi, nierzadko klinicznymi objawami społecznego niedostosowania, frustracje rozczarowanych weteranów stały się istotnym paliwem pierwszej „wojny na górze” u zarania III RP i wszystkich kolejnych, które się z niej wywodziły. To stąd biorą się słyszane do dzisiaj opowieści o zdradzie w Magdalence, o wciąż aktywnej postkomunie, o agentach rozmaitej proveniencji. Podobne źródła mają brednie Kaczyńskiego o faktycznym przywództwie bliźniaków w ruchu „Solidarności”. Moi koledzy i koleżanki z tamtych lat, rozczarowani na wiele sposobów własnym późniejszym losem, zasilili kadry i elektorat PC, potem PiS, szczerze nienawidząc ROAD-u, UW, UD i wreszcie PO. Społeczne frustracje w różnych skalach – w środowisku aktywnych liderów i w masowych środowiskach elektoratów – bywają źródłem poważnych politycznych wstrząsów.

Dzisiejsi weterani ruchu protestu są pod tym względem o tyle mniej niebezpieczni, że są po prostu starzy. Mówiąc brutalnie, wkrótce zejdą ze sceny.

Inna uspokajająca różnica między starymi i nowymi czasami wynika z mechanizmu selekcji w polityce. Choć trudno uznać tę selekcję za pozytywną, dzisiejsi politycy przeszli po prostu jakąkolwiek – w odróżnieniu od tamtych, którzy w wyborach z '89 roku do polityki dopiero wkroczyli. W znanym mi dobrze środowisku wrocławskim od Frasyniuka i całego jego

znakomitego otoczenia lepszy w politycznych intrygach okazał się nie tylko Grzegorz Schetyna, ale również kompletnie prymitywny i zwyczajnie głupi Ryszard Czarnecki. Pamiętając, że wyborczych szans nie miał nawet Jacek Kuroń – nie tylko Mazowiecki, Lityński, Wujec i wielu innych – można się dziś zżymać, że w brudnej i brutalnej polityce dominują miernoty. Tęsknota za dawnymi gigantami byłaby jednak mocno fałszywa. Intelktualni i duchowi ojcowie III RP – jakkolwiek oceniać ich wielkość – przepadli po prostu w grze, którą sami niegdyś zaprojektowali. Dzisiejszym liderom politycznym to się nie zdarzy. Są nie tylko sprawdzeni. Są dobrzy. Tusk jest natomiast w tej kategorii niekwestionowanym mistrzem.

Prawdziwy problem polega jednakże na tym, że nie o osobiste rozczarowania kombatantów tu chodzi. W '89 roku w miejsce wynegocjowanej przy Okrągłym Stole indeksacji płac znoszącej skutki inflacji, która przy indeksacji galopowała tym szybciej, pojawił się drakoński plan Balcerowicza. Obietnicę solidarności społecznej – instynktownej, niezwykle silnej i prawdziwej w karnawale „Solidarności” – zastąpił społeczny, „biznesowy” egoizm. Prawdziwe powody do rozpaczliwej frustracji mieli nie weterani rewolucji, ale ci, którzy im w '89 roku uwierzyli – wielkie masy ludzi, znoszących trudny dziś do wyobrażenia czas ówczesnej transformacji. Jakim cudem zdołaliśmy to wszystko wytrzymać? Powodów do sprzeciwu było więcej – poza nędzą, z której bynajmniej nie wszyscy umieli się wydostać, powodów dostarczała coraz bardziej irytująca, coraz wyraźniej interesowna, skorumpowana, krótkowzroczna, czasem po prostu głupia polityka i przede wszystkim jej widoczne dla wszystkich, całkiem świadome rozstanie i z wielkimi ideami, i ze zwykłą przyzwoitością. Ludzkie frustracje miały się czym karmić. Powody były rzeczywiste, urojenia sfrustrowanych weteranów groźne były tylko wtedy, kiedy trafiały na podatny grunt. Rozczarowanie mas częściej budziło społeczną apatię niż gniewny sprzeciw. Dobra frekwencja wyborcza to w niedawnej Polsce nieco powyżej 50%. A jednak „jakoś to było”. Przecież było dobrze. Tak dobrze, że do dziś nie rozumiemy, co takiego stało się w 2015 roku, że polityczna większość PiS z pełnym społecznym przyzwoleniem mogła to wszystko tak długo, tak intensywnie i tak konsekwentnie w pełni świadomie rozwalać.

Jak będzie dzisiaj? Wszelkie znaki pokazują, że musi być źle. Ale doświadczenie pokazuje, że wcale niekoniecznie. Stan bylejakości i prowizorki może trwać bardzo długo – w III RP trwał do 2015. To kawał czasu.

Owszem, sam przegrałem w zasadzie wszystkie poważniejsze batalie, które prowadziłem przez ostatnie lata. Dziś czasem widzę nieskrywanie szydercze uśmiechy z powodu fatalnego wyniku wyborczego. 1 852 głosy. Promil. To tak mało, że z imienia i nazwiska znam co najmniej połowę tych ludzi. Poczucie porażki nie z tego się bierze, że „nie wszedłem”, bo akurat tego dla siebie chciałem najmniej, jeśli w ogóle tego chciałem. Przed wyborami mówiłem o politycznej reprezentacji rządzonych, o Trzeciej Izbie, o niewysłych źródłach populizmu, o reformie konstytucyjnej, o koniecznej sprawczości rządzonych w polityce demokratycznego państwa. To zupełnie nie obchodziło ludzi uczestniczących w tej wielkiej mobilizacji wyborczej, która dała nam zwycięstwo nad PiS. I to na tym polega porażka prawdziwa i tę – owszem – przeżywam boleśnie. Ludzie nie chcieli słuchać gadania o własnej sprawczości i współwłasności państwa. Chcieli wodza, który pogoni Kaczyńskiego.

Te 1 852 osoby to są równocześnie ludzie wyjątkowi. Owszem, przecież uczestniczyli w tej wielkiej wyborczej mobilizacji. Ale bardzo świadomie głosowali z nadzieją, a nie z lękiem i nie tylko z determinacją. Ich determinacja była zresztą wielka – na tyle, by czasem przejechać

kilkaset kilometrów i zagłosować na mnie w Warszawie. Gdyby nawet tylko na tych ludziach się oprzeć, próbując działać na rzecz Trzeciej Izby – kto wie?

No, zrobiłem co umiałem i mogłem. Ten tekst napisałem nie z zapału, ale z poczucia obowiązku. I wobec tych 1 852 osób, które głosowały na mnie ostatnio, i wobec wszystkich, którzy kiedykolwiek mi uwierzyli i wiedzieli, że za sprawy, o których mówię, warto nadstawić karku. Nie wiem, czy umiałbym mówić jak kiedyś na wiecach – tak, że ludzie płakali. Przyznam, że chciałbym mieć taką okazję. Jeśli nawet nie po to, żeby coś zacząć znowu, to po to, by wszystkim dobrym ludziom, od których tak wiele dostałem, serdecznie podziękować i się z nimi pożegnać, jak nakazuje przyzwoitość i przyjaźń.

Cóż, być może ten tekst będzie musiał wystarczyć zamiast tego.

